W numerze: Boruta na cokół • Opowiadanie pełne śniegu • Pisarze w terenie • Reportaż z paragrafem • Kino Dobrych Widzów • Ostatnia noc • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 50 (354)
13. XII. 1964 r.
10 stron
CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK ROK VII

Fot. M. Korczak-Idziński

JADWIGA CZYŻ

CÓRKI KOLUMBA 1964

Kobiety, z którymi rozmawiałam nie mają jeszcze czterdziestki. Wykształcenie z reguły średnie, no i SN, większość z nich to kobiety zamężne. Skarżą się na ciężkie warunki pracy w środowiskach, gdzie pieniądz jest jedynym miernikiem wartości człowieka, na często opłakane warunki lokalowe, na brak pieniędzy na remonty i przede wszystkim błotniste, kilometrowe drogi do najbliższego przystanku autobusowego czy szosy. Pytałam, czemu nie starają się przenieść do miasteczka czy osiedla z teatrem objazdowym i stałym kinem. Okazało się, że ż a d n a z nich nie zmieniłaby pracy. Nie zawsze to sprawa zamiłowania do zawodu, czasem przyzwyczajenie, niezła pensja (w jednej wsi nauczyciel ma 2.000 zł m-cznie), po trosze wszystkiego. Są zabiegane, zapracowane, nie mają czasu i możliwości poczytać, rozejrzeć się w świecie, nic zresztą dziwnego, ich historia wygląda nie najweselej.

Agnieszka pierwsza mieszka w Syberii, jakieś trzy, cztery km od drogi głównej. W Syberii jest teraz bardzo zimno i błotnisto. A Agnieszka chcąc przywieźć z Brzezin chleb czy masło, maszeruje rozmokłymi ścieżkami do przystanku autobusowego. Śmieje się ze mnie — o, proszę pani, tu to trzeba wiosną przyjechać, teraz jeszcze wspaniała pogoda — trudno komentować jej uśmiech w warunkach, kiedy nie ma się na sobie nic suchego, deszcze padają całe dnie. Na szczęście Agnieszka mieszka naprzeciw szkoły, zresztą w szkole przyjemniej, w jej mieszkaniu jest ciągle zimno, zeszyty poprawia w płaszczu. Chociaż i w klasach dzieciaki siedzą w grubych swetrach. Przydziałowy torfo-koks jest mokry i nie chce się palić, a poza tym jest go mało, trzeba czekać na mrozy. Zmoczone dzieciaki nie mają się gdzie wysuszyć. Dzieci wiejskie są zabiedzone, zaniedbane, nie pomaga troska nauczycielki o higienę dzieci. Nie pomagają granatowe fartuszki szkolne i kącik czystości w każdej klasie. Ale są bystre, można z nimi pracować, a zresztą wszystkich dzieci w szkole z pięciu okolicznych wsi jest 40. W klasach po 8—10 osób, jeśli w niepogodę lub w dzień targowy w Brzezinach 50% opuszcza lekcje, nauczyciel nie może przerobić nowego materiału. Szkoła jest dwuzmianowa, lekcje w klasach łączonych IV i V. A najgorsze, że trzeba je uczyć wszystkiego. Agnieszka na przykład to antytalent do śpiewu. Nadrabia to w pracach ręcznych, za urządzanie okolicznościowych wystaw plastycznych zbiera w powiecie nagrody. Prymitywne bardzo kolorowe ludziki, pomagają Agnieszce w nauce historii i obrazują dzieciom scenę historyczną z „Krzyżaków".

Od trzech lat mężem Agnieszki jest kierownik szkoły, on zajmuje się prowadzeniem zespołu teatralnego dla dorosłych we wsi, ona pracą z „czarnymi ludkami", drużyną zuchów. Z wystawienia „Szkiców węglem" szkoła miała zysk 1.500 zł, podczas, gdy z zabawy jakieś 700—800. Poza czystym, pieniężnym dochodem, „nasz pan i nasza pani" zarobili sobie, zapracowali na autorytet, chociaż Rzepowa występowała bez chustki na głowie, a dziewczęta nie zdjęły zegarków. Naturalnie, nie wszyscy rodzice mówią z szacunkiem o

Dalszy ciąg na str. 3

FELIKS BĄBOL

CENA STRACHU...?

Ile kosztuje domek jednorodzinny w Łodzi? Taki skromny domek 3—4-izbowy, bez tarasu nawet i bez innych szykan, najwyżej z miejską wodą? Ile? 140 tysięcy? Albo 140 tysięcy albo kilka lat więzienia, albo ćwierć miliona i „dycha".

Ludzie wiedzą, bo widzą, więc mówią. Ten domek, który tak ładnie się zapowiadał — zwozili już specjalne szkło mrożone na taras, jakieś piaskowce na podmurowanie — ta willa na przedmieściu, nagle któregoś dnia opustoszała. Ludzie lokalizowali sobie ten luksusowy dach nad głową w tej czy innej aferze, potem czekali tylko na wyrok w gazetowej rubryce „Z sądu", a gdy to wszystko było wiadome — jeszcze na jednej ulicy w ludzkiej mentalności załamał się mit o kradzieży doskonałej.

Ile kosztuje domek jednorodzinny? Nie wszystkie kosztują wyrok, większość powstała z ludzkiej ciężkiej pracy, z wyrzeczeń, z niemal ascetycznego trybu życia. Spotkałem takiego ascetę parę dni temu. Gdy tylko przyszła wolność zaczął składać. Nie palił, nie pił, żył skromnie, jedyne dziecko — syn był już odchowany, kończył naukę zawodu i nawet już coś zarabiał, więc gdy tego ascetę obliczyłem, wypadło, że tak plus minus odkładał rocznie 6 tysięcy na dzisiejszą walutę. Po 20 latach w sam raz na własny dach nad głową. Ale on nie — on kupił sobie „Warszawę" — jeździ dziś na taksówce, chwali sobie, choć z pragnienia posiadania własnego domku na starość całkiem się nie wyleczył.

Więc i ten asceta nie pasował do mechanizmu posiadania jednorodzinnych domków. Domków, których budowę państwo popiera, a których i w Łodzi przybyło po wojnie sporo. Razem przybyło ich 3.200, a w izbach jest to blisko 13 tysięcy. Dużo to, czy mało?

Jeśli się weźmie pod uwagę, że budownictwo ze środków własnych ludności stanowi około 10 proc. całego budownictwa w tym mieście, od razu widać, że to partner, z którego ani gospodarka ani społeczeństwo pochopnie zrezygnować nie może. Tym bardziej, że te małe, 3—4-izbowe domki jednorodzinne powstają właściwie z niczego, psim swędem, nie zmniejszają tzw. mocy przerobowej istniejących przedsiębiorstw budowlanych, zajętych wielkimi programami miejskiego budownictwa.

Nie zapominajmy też, że te małe domki są w jakimś stopniu elementem równowagi rynkowej, bo ileś tam mln zł rocznie budujący się przeznaczają na wapno, cement, cegłę, na działkę budowlaną, a nie na inne artykuły.

A poza tym? Poza tym — gdy budujesz swój dach nad głową i państwo ci w tym pomaga (pożyczka bankowa, plac) musisz oddać mieszkanie, które zajmujesz. Więc ci dobroczyńcy nie tylko wyręczają miasto w przysparzaniu izb społeczeństwu, ale i rozwiązują ręce kwaterunkowi, który dysponuje po zakończeniu budowy domku ich mieszkaniami.

* * *

Zaraz po wojnie nie budowano w Łodzi wiele. W 1946 roku tylko 52 izby (11 domków), ale w 1947 przybyło już 70 domków, a w 51 — 250. Potem zaczął się odwrót od idei — nadszedł trudny okres zaciskania pasa i domiarów podatkowych, dopiero więc w latach 1958—59 na nowo odżył ludzki pęd do małego i ciasnego, ale własnego domku.

Już w 1955 roku perspektywy stworzyła uchwała rządowa o pomocy państwa dla budujących, a w 1956 ukazały się pierwsze pożyczki budowlane (Łódź dostała wtedy 2 miliony zł). I nie dziwmy się, że efektem takich pociągnięć już w 1958 roku było 395 izb (w 1957 — 600), a w r. ub. nawet 1.369. Ale jak pomoc to pomoc. Wkrótce po uchwale rządowej miasto

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Po wielu różnorodnych kłopotach rozpoczęła się kolejna, XIX sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Warto przy tej okazji przypomnieć, że Organizacja Narodów Zjednoczonych wkroczyła w swój jubileuszowy dwudziesty rok działania. W ciągu tych lat liczba państw członkowskich więcej niż podwoiła się i dziś w sali obrad zasiadają delegacje 116 państw. Mimo to niektóre kraje, a przede wszystkim Chińska Republika Ludowa, nie zajmują jeszcze należnego im miejsca w ONZ.

Tegoroczna sesja rozpoczęła się w atmosferze pewnego poddenerwowania z powodu bezsensownych gierek w sprawie pokrywania kosztów operacji wojskowych ONZ. Szczęśliwie uniknięto na razie spięcia na ten temat, decydując o wyborze przewodniczącego sesji przez aklamację. Jednak — jak podkreślają komentatorzy — to „milczące Zgromadzenie" nie może funkcjonować na dłuższą metę. Dlatego też dużą uwagę przywiązuje się do spotkań Rusk-Gromyko, w rezultacie których oczekuje się znalezienia trwalszego kompromisu.

Równocześnie przedstawiciele grupy afro-azjatyckiej w ONZ uzgodnili plan, mający — w ich przekonaniu — przyczynić się do rozładowania sytuacji. Przewiduje on m. in. nałożenie moratorium na kontrowersje wokół finansowania operacji wojskowych i dyskusje nad tym, czy artykuł 19 Karty ONZ może być podstawą do pozbawienia prawa głosu członków, zalegających z wpłatami, oraz utworzenie specjalnego funduszu, na który państwa członkowskie mogłyby wpłacać dobrowolne dotacje.

W tym czasie, kiedy trwa poszukiwanie dróg rozwiązania tej kontrowersji — przewodniczący sesji, którym został Alex Quaison — Sackey, stały przedstawiciel Ghany w ONZ, człowiek, zdaniem Zachodu, „o dużej ambicji i próżności" — wprowadził w zakłopotanie wielu polityków. Opowiedział się bowiem za zasadą „maksymalnej uniwersalności ONZ" („Uważam, że wszystkie kraje i wszystkie narody powinny mieć swobodny dostęp do informacji o tym, co się u nas — w ONZ dzieje. Każdy kraj powinien być członkiem ONZ, a przynajmniej posiadać obserwatora"), a także podjął sprawę niemiecką.

Przed ONZ, której rola w rezultacie zmiany układu sił stale wzrasta, stoi szeroki wachlarz zasadniczych problemów. Wymienię tylko: sprawę całkowitego i powszechnego rozbrojenia (łącznie z propozycjami rozwiązań częściowych), dekolonizację, (aktualnie wagę problemu podkreślają wydarzenia w Kongo i Wietnamie), rozwoju krajów gospodarczo zacofanych (raporty ONZ podają, że na 3 miliardy ludności świata — do 500 mln cierpi głód, połowa jest niedożywionych, a co czwarte niemowlę nie dożywa 1 roku) ...

Oczywiście, byłoby niepoprawnym optymizmem oczekiwać, że wymienione i nie wymienione problemy znajdą na sesji swe rozwiązanie. Rysuje się jednak wyraźnie kierunek na ich rozstrzyganie, choć ani to proces łatwy, ani krótkotrwały, i niejedną przyjdzie jeszcze stoczyć trudną batalię.

Równolegle z przebiegiem sesji ONZ, uwagę opinii publicznej przykuwają wydarzenia w czworokącie: Waszyngton, Londyn, Bonn i Paryż.

Pisaliśmy już niejednokrotnie o przyczynach kryzysu w bloku atlantyckim i nie ma potrzeby powracać do sedna sprawy. Odnotujmy więc tylko nowe momenty.

Pewną wskazówką co do tego, że w toku rozmów Johnson-Wilson trudno będzie o porozumienie na temat wielostronnych sił nuklearnych — może być wystąpienie prezydenta Stanów Zjednoczonych w Georgetown University, poświęcone przede wszystkim „jedności europejskiej i partnerstwa atlantyckiego".

Było to — podkreślają komentatorzy — typowo johnsonowskie przemówienie: pojednawcze, ale z nutkami stanowczości, ogólnikowe, nie zatrzaskujące żadnej furtki, niezaciągające żadnych konkretnych zobowiązań, stosunkowo realistyczne, ale nie pozbawione sprzeczności.

Z uważnej analizy tekstu można jednak wyprowadzić wniosek, że w toku rozmów z prem. W. Brytanii nie zostanie osiągnięte żadne porozumienie w sprawie pomnieszenia roli Niemiec zachodnich w siłach jądrowych. Tak więc wynik spotkania jest właściwie przesądzony.

Tymczasem „bohater" owych licznych kontrowersji: projekt wielostronnych sił nuklearnych — zacytujmy za „Stuttgarter Zeitung" — „zaczyna coraz bardziej przypominać boksera, słaniającego się na ringu".

Po frontalnym ataku de Gaulle'a i „skwapliwie zawoalowanej odmowie" ze strony W. Brytanii, nastąpiło „nie" Belgii. Również w Stanach Zjednoczonych coraz bardziej zaczynają się szerzyć opinie, że urzeczywistnienie jałowej teorii w zamian za zerwanie z niektórymi europejskimi partnerami — to cena zbyt wysoka.

Zabrał na ten temat głos również Walter Lippmann. Stwierdzając, że „MLF jest szczególnie prymitywnym przykładem instytucji przestarzałej", znany komentator doradza prez. Johnsonowi „mistrzowską bezczynność". Innymi słowy — grę na zwłokę, albowiem jakikolwiek akt oficjalnego porozumienia nie jest możliwy. Z tym ostatnim stwierdzeniem można się zgodzić, tylko: co dalej?...

W rzędzie najważniejszych wydarzeń tygodnia trzeba postawić jeszcze jedno. Na Zachodzie podano oficjalnie do wiadomości, że rząd radziecki zaprosił do Moskwy trzech premierów krajów skandynawskich: Danii, Szwecji i Norwegii. Data wizyty ma być uzgodniona kanałami dyplomatycznymi.

Zapowiedź równoczesnej wizyty trzech premierów — nie trzeba chyba dodawać — wywołała na Zachodzie wielkie zainteresowanie. Podkreśla się, że wybór mężów stanu Skandynawii, jako pierwszych rozmówców ze świata zachodniego z nowym kierownictwem radzieckim — nie jest przypadkowy. Zdaniem publicystów, zdecydowało o tym negatywne stanowisko krajów północnych wobec WSN.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

NIEDZIELA, 29 LISTOPADA

⊙ W sprawie Konga trwa ożywiona działalność dyplomatyczna krajów afrykańskich. Dzięki niej już dzisiaj musiał opuścić ten kraj ostatni oddział belgijskich spadochroniarzy.

⊙ Mariner-4 zboczył z wyznaczonej orbity, ale zdalnie sterowana poprawka — według oświadczenia oficjalnego — nie nastręczy większych trudności.

⊙ Co robią dziś, po upływie roku mieszkańcy Dallas zamieszani w śledztwo w sprawie morderstwa prezydenta Kennedy'ego? Oto w skrócie relacje prasy amerykańskiej:

Abraham Zapruder, filmowiec amator, który zdołał swą kamerą uchwycić moment, gdy prezydenta dosięgły kule zamachowca, stracił cały entuzjazm dla swego dawnego hobby. „Ile razy spojrzę w celownik, tyle razy przypomina mi się tamta chwila — powiedział Zapruder. — Biorę więc aparat do ręki z niechęcią".

Gubernator Conolly stracił, jak twierdzi, cały zapał do polityki. „Często teraz bywam na swej farmie polubiłem przyrodę i samotność. Dawniej wszystko to było mi obce".

Uczeń A. L. Evius, który dostrzegł w oknie domu handlowego błysk wystrzału otrzymał w ciągu minionego roku tyle telefonów z pogróżkami, iż matka jego, po bezskutecznych apelach do policji, musiała zorganizować stały rodzinny nadzór nad chłopcem.

Handlarz samochodami Reynolds, inny ze świadków, stał się ostatnio ofiarą zamachu i był również zmuszony zwrócić się do prywatnych detektywów o pomoc.

PONIEDZIAŁEK, 30 LISTOPADA

⊙ Prasa amerykańska podaje, że w ostatnich latach uciekło z Afryki ponad 750 tysięcy białych kolonistów. Zaczęło się to w latach 1957—62, kiedy z Algierii uciekło około 250 tys. osób. Po roku 1961 dalsze 250 tys. białych opuściło Angolę. W bieżącym roku około 30 tys. ludzi porzuciło portugalską Gwineę, a 10 tys. wyjechało z Mozambiku.

⊙ Oto bardzo wymowne porównanie wyników włoskich wyborów samorządowych ostatnich lat:

	1960	1963	1964
Chrześcijańscy demokraci	40.4	38.3	37.4
Komuniści	24.3	25.6	26.0
Socjaliści Nenniego	14.4	14.2	11.3
Liberałowie	4.0	7.0	7.9
Socjaldemokraci	5.8	6.3	6.6
Neofaszyści	5.9	5.0	5.0
Lewicowi socjaliści	—	—	2.9
Republikanie	1.3	1.3	1.2
Monarchiści	2.9	1.7	0.9
Inni	1.0	0.7	0.8

WTOREK, 1 GRUDNIA

⊙ W Stanleyville trwają zacięte walki najemników Czombego z powstańcami.

⊙ W Syjamie nie udał się przewrót wojskowy. Mają miejsce masowe aresztowania wśród oficerów.

⊙ Winston Churchill ukończył 90 lat. Był jednym z tych ludzi, którzy wycisnęli na pierwszej połowie naszego wieku swe niezatarte piętno. Przypominamy szczeble jego politycznej kariery.

Już w 1896 r. brał udział w kampanii egipskiej, a stopień oficerski uzyskał w czasie wojny burskiej.

W 1900 r. został posłem konserwatywnym do Izby Gmin.

W roku 1911 został pierwszym lordem admiralicji, ponownie funkcję tę pełnił od 3 września 1939 r.

Brał udział w konferencjach w Moskwie, Casablance i Jałcie.

Był autorem terminu „zimna wojna".

W r. 1953 uzyskał literacką nagrodę Nobla.

Całe życie uparcie bronił imperializmu brytyjskiego, nienawidził ruchów lewicowych i postępowych. Pamiętamy jednak i to, że wniósł swój wielki wkład w dzieło walki z hitleryzmem.

ŚRODA, 2 GRUDNIA

⊙ De Gaulle zaniepokojony aktywnością amerykańskich dyplomatów i doradców wojskowych zaczyna traktować Czombego jako partnera w poważnej rozgrywce o wpływy na czarnym kontynencie. Lecz mimo to pryncypialny prezydent unika spotkań ze skompromitowanym kacykiem na oczach tzw. opinii publicznej. Oto dlaczego reporterom nie udało się dokonać zdjęć powitalnych generała i premiera Konga.

⊙ Papież Paweł VI przybył na kongres eucharystyczny do Bombaju i ta podróż — pierwsza tego rodzaju w historii papiestwa — jest wyraźnym dowodem modernizacji sposobów działania Watykanu.

⊙ Podkomisja ONZ powołana do zwalczania handlu narkotykami bije na alarm. Według ostatnio opublikowanych danych popyt na narkotyki w światowej skali rozwija się zatrważająco. I tak ocenia się, iż w bieżącym roku na czarnych rynkach sprzedano około 200 ton opium, podczas gdy w ubiegłym roku wskaźnik ten wyniósł zaledwie 27 ton.

⊙ Do ONZ przyjęto trzy nowe państwa — Maltę, Malawi i Zambię. W ten sposób lista państw członkowskich obejmuje znów pełny alfabet od A do Z. Ta ostatnia litera wakowała po Zanzibarze.

CZWARTEK, 3 GRUDNIA

⊙ Washington Post pisze „W najbliższych latach USA i komunistyczne Chiny będą, chcąc nie chcąc, skazane na wzajemne konfrontacje, na pewno w Azji, a kto wie czy nie i w Afryce. Chyba więc pora szukać dróg dla polityki śmielszej i elastyczniejszej niż amerykańska polityka zagraniczna ubiegłego 10-lecia.

⊙ Giovanni Iandolo, funkcjonariusz elektrowni miejskiej w Palermo zasiadł na ławie oskarżonych wraz ze swymi dwoma synami. Synowie trudnili się kradzieżą samochodów pozostawionych chociażby na chwilę w ciemnych ulicach. Ojciec współdziałał z nimi: na umówione godziny wyłączał dla całych dzielnic światło, by ułatwić synalkom ich proceder.

PIĄTEK, 4 GRUDNIA

⊙ Prezydent Nasser wybiera się w lutym do Bonn. Doniosły o tym bez jakichkolwiek komentarzy oficjalne gazety kairskie. Obecnie bawi tam król Jordanii Hussein, rozdając szczodrze cenne podarunki i prawiąc oszałamiające komplementy. Oto jeden z nich „Niemieccy żołnierze są dla nas, Jordańczyków, wzorem i przykładem odwagi, wierności tradycji, miłości ojczyzny, wszelkich żołnierskich cnót". Tyle miodousty król Jordanii. O co mu chodzi? Oczywiście, o wielkie dostawy broni.

⊙ De Gaulle nakazał rozbudowę szkoły wojskowej w St. Cyr, tak, by mogła ona przyjmować corocznie o 1.500 elewów więcej.

⊙ Dane oficjalne wskazują, na stały wzrost ilości wypadków drogowych. W NRF opublikowano statystykę za miesiąc wrzesień. Na drogach zachodnich Niemiec miało miejsce w tym jednym miesiącu aż 93.065 katastrof, w których zginęło 1.495 osób, a 41.161 osób odniosło obrażenia. Ilość śmiertelnych ofiar wzrosła w porównaniu z rokiem ubiegłym o 4,2%.

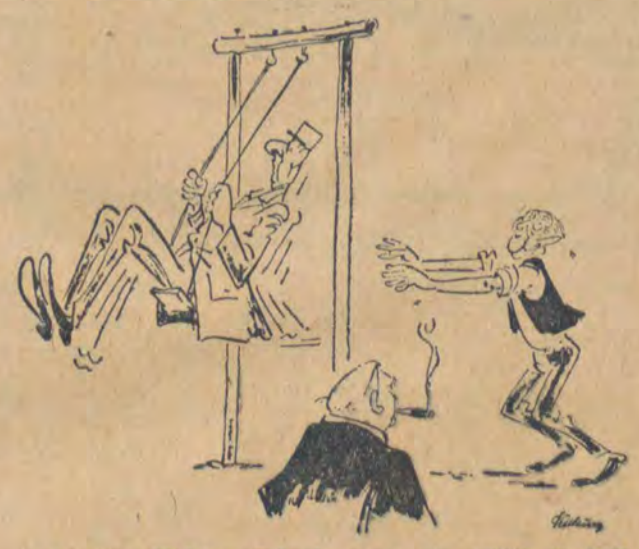

Adenauer: Widzisz, Erhard, czego nie zrobię w imię przyjaźni?

SOBOTA, 5 GRUDNIA

⊙ Generał Maxwell Taylor wraca do Sajgonu, wioząc — według zapewnień prasy amerykańskiej — „nową strategię". Na czym będzie ona polegała? Taylor zamierza atakować z powietrza linie komunikacyjne wiodące z DRW przez Laos i Kambodżę. Bombardowań dokonywać będą samoloty południowowietnamskie bez udziału amerykańskiego personelu wojskowego, tak aby oficjalnie Stany Zjednoczone nie ponosiły odpowiedzialności za te naloty.

⊙ A tymczasem prasa francuska donosi z satysfakcją, że parę kilometrów od Sajgonu występował ostatnio partyzancki teatr wojskowy.

POLONICA

O POLSKICH KSIĄŻKACH W NRF

W dodatku literackim do „Frankfurter Allgemeine Zeitung" (24.XI. br.) ukazała się obszerna recenzja o przekładzie „Pana Tadeusza", którego dokonał Hermann Buddensieg, redaktor i wydawca „Mickiewicz-Blätter" w Heidelbergu. Autor recenzji, August Scholtis, znający dobrze język polski, omawia przy tej sposobności znaczenie eposu Mickiewiczowskiego i charakter literatury polskiej w ogóle. Recenzent wysoko ocenia przekład Buddensiega, stawiając go najwyżej spośród dotychczasowych przekładów „Pana Tadeusza" na niemiecki.

W tym samym dodatku znajduje się recenzja z wydanego w Niemczech zbioru szkiców i felietonów Stefana Kisielewskiego pt. „An dieser Stelle Europas. Ein Pole über Ost und West und andere Fragen von heute". (W tym miejscu Europy. Polak o wschodzie i zachodzie i innych problemach naszego czasu). Również w tymże dodatku i na tej samej kolumnie opublikowano wiersz Krzysztofa Baczyńskiego pt. „Miserere" w przekładzie Karla Dedeciusa. Wiersz ten wyjęty jest z antologii „Polnische Poesie des 20. Jahrhunderts" (Polska poezja dwudziestego wieku), która w przekładach i opracowaniu Karla Dedeciusa ukazała się właśnie nakładem Carl Hanser Verlag w Monachium.

WYWIAD Z ARTUREM RUBINSTEINEM

W 71 numerze czasopisma miesięcznego „Ameryka" znajduje się wywiad Jana Erdmana z Arturem Rubinsteinem. Cytujemy fragmenty wypowiedzi znakomitego pianisty: „W Polsce mieszkałem jako dziecko, a potem tylko wpadałem z wizytami. Oczywiście, z żoną rozmawiamy zawsze po polsku, ale dzieci już nie mówią". Na pytanie Erdmana: „Czy pamięta pan dom, w którym rodzice mieszkali w Łodzi?", Rubinstein odpowiada: „Doskonale. Na Piotrkowskiej, tuż przy pasażu Majera. Ojciec miał warsztat tkacki, małą fabryczkę — około 50 robotników. Odnalazłbym nasz dom od razu".

JULIAN TUWIM PO BUŁGARSKU

Mnoży się ilość przekładów z literatury polskiej na język bułgarski. Ostatnio ukazał się obszerny „Wybór wierszy" Juliana Tuwima w Sofii, nakładem Wydawnictwa Literatury Współczesnej. Wiersze Tuwima przekładali m. in. Dora Gabe, Blago Dymitrowa i Dymitr Karangow. Tom wydany jest bardzo ładnie, w płóciennej oprawie i z przerywnikami w tekście. Julian Tuwim ma w Bułgarii wielu zwolenników swojej poezji zarówno wśród zawodowych pisarzy i krytyków jak też wśród rzesz czytelniczych. Przyjemnie jest stwierdzić, że młode pokolenie czytelników, chętnie czyta Tuwima.

JADWIGA CZYŻ

CÓRKI KOLUMBA 1964

Dalszy ciąg ze str. 1

swoim nauczycielu i Agnieszce. Zdarzyło się nawet, że kochający rodzic podał skargę do prokuratora „skarżę o niewłaściwy stosunek do mojego syna, Wojciecha S.", ale ów prawnik oddalił skargę jako pozbawioną podstaw. Przykrość dla Agnieszki niemała. Tym bardziej, że praca społeczna w Syberii spada na małżeństwo szkolne. Sami muszą malować siatkę, dobrze, że rodzice pomogli w ogrodzeniu boiska szkolnego. A Agnieszka miała i inne przykrości. Ze studiów w WSP w Opolu nic nie wyszło, według Inspektoratu Powiatowego, Agnieszce wystarczy SN. I Agnieszka jeździ na matematykę do Łodzi. Na szczęście nauka męża „wypadła", on już ukończył SN, też w Łodzi. Poznali się na praktyce w Jeżowie, a z powodu zbytniej skrupulatności pewnej pani, znanej zresztą działaczki społecznej, poprosili o przeniesienie. I tak zostali małżeństwem. Wieczorami on czyta, albo ma próbę w zespole, ona zbiórkę „ludków", albo przygotowanie do lekcji w następnym dniu. Czasem zabierają starszą młodzież do kina, do Brzezin. W tym tygodniu wybierają się na „Przeminęło z wiatrem". A to uciecha.

Nie powiedziałam jeszcze wszystkiego. Szkoła jest drewniana i ma tylko dwie izby szkolne, ale to jeszcze nic. Potrzebuje remontu i węgla — też nic. W Syberii nie ma ś w i a t ł a. Agnieszka pracuje przy lampie naftowej, prace semestralne też pisze w tym wspaniałym blasku — a baterie w Szarotce, jedynej radości Agnieszki, ciągle wysiadają. Dlatego Agnieszka mówi: jestem zmęczona, a i pracą się nie zachwycam, tyle że stąd nie wyjadę nigdzie. Patrzy na męża, razem z Adamem damy sobie radę. Agnieszka ma lat dwadzieścia.

Z Agnieszką drugą, nie można się było dogadać. Pracuje w murowanej, oświetlonej szkole. Jest młoda. Narzeka na dziurę i podkreśla zasługi męża, byłego kierownika szkoły. „Gdy tu był mąż..." We wsi powiedziano mi, że jej wielkopańskie tony przekraczają granice przyzwoitości, skarżą się dzieci, rodzice, personel. Otóż ta mała Agnieszka, z przerośniętymi ambicyjkami, jest obecnie żoną pana inspektora. Stąd jej głos, gesty, tony. Nie wiem, jakim pedagogiem jest Agnieszka, w każdym razie współpracownikom współczuję.

Agnieszka trzecia jest piękną postacią. Cierpliwie pisze na tablicy „Co mamy ze zboża?", a potem słomę, otręby, mąkę, bierze w ramki i tłumaczy dzieciom, jak mają to wpisać do zeszytu. Na stole kilka kłosów, ziarno, kasza, mąka. I Agnieszka znów pyta cierpliwie: „Władziu, no pomyśl troszeczkę, co ty jesz na śniadanie? O, chleb — śmieje się zadowolony Władzio, a Agnieszka natychmiast podchwytuje: „a do chleba?" To już dla Władzia zbyt skomplikowane. Wychodzi więc z ławki i woła: wóz jedzie. Agnieszka bez gestu zniecierpliwienia pyta, czy wszystkie dzieci obejrzały już woz, a jeśli tak, to niech usiądą grzecznie w ławkach i zastanowią się, jaka jest różnica między zbożem, a ziarnem. Wczoraj widziały to w młynie, oglądały maszyny, pan z okienka opowiadał im o pracy młyna. Dzisiaj już niewiele pamiętają. Władzio jest ruchliwy, wychodzi z ławki i mówi coś do dzieci, pobił się z sąsiadem, bowiem ten zabrał mu jego własną, Władzia, bibułę. Agnieszka dochodzi do każdego dziecka, a ma ich w trzeciej klasie 14 i pomaga napisać to wszystko, co jest na tablicy. Każdy produkt innym kolorem. Dzieci rysują około godziny, a potem Agnieszka przynosi mi zeszyt, w którym są dwa koła i coś tam w środku. Pyta Józia: gdzie narysowałeś to z tablicy?, a Józio pokazuje palcem na to coś nieokreślonego. Agnieszka mówi mi po cichu: te dzieci nie umieją pisać, czasem wiedzą, co do nich mówię, ale widzi pani, one zrysowują to z tablicy bez zrozumienia znaczenia, i za te rysunki stawiam im stopnie. Istotnie, są zeszyty staranne, z piątkami i czwórkami. Ale Agnieszka mówi: kocham te dzieci, chociaż czasem żałuję, że podjęłam się sama tej pracy, wyników nie ma, a przecież codziennie zabieram je w teren, pokazuję, co to trawa, ziemia, jak nazywa się w ich domu kura, one muszą dotknąć tego, a i to nie zawsze rozumieją. Patrzę na tę 22-letnią kobietę, matkę dwojga dzieci, zadłużoną u bliskich na życie, wtedy, gdy mąż przynosił z tejze szkoły 1.500 zł miesięcznie i śmiało mogę te uczucia nazwać podziwem. Agnieszka znowu powtarza, co mamy ze zboża i pod koniec lekcji dzieci znów nie wiedzą. Więc Agnieszka zaczyna od nowa. Lekcja w tej klasie nie ma 45 minut. Kończy się wtedy, gdy zagadnienie się kończy. Bowiem matematyka polega na przeliczeniu kłosów na stole i tego wszystkiego, co mamy ze zboża. Zresztą zeszyt jest do wszystkiego, uniwersalny. Znów patrzę na Agnieszkę, jej miły głos w końcu jakoś dociera do chorego dziecka i myślę, że spotyka się z wielką niewdzięcznością ze strony rodziców. Jest nauczycielką „od głupich", a przecież bez fachowego przygotowania, całe wieczory Agnieszka układa sobie plan pracy z tymi dziećmi. Muszę jeszcze powiedzieć, że to nie żaden zakład dla dzieci upośledzonych, tylko wiejska szkoła siedmioklasowa, z dwiema wydzielonymi klasami. A całą praktyką Agnieszki był trzydniowy pobyt w specjalnej szkole w Koluszkach i Tomaszowie Mazowieckim. Potem już w gabinecie kierownika szkoły, miłego pana o rękach robotnika, dowiaduję się o pretensjach rodziców, niby dlaczego to jej dziecko ma być w tej klasie, a jeśli już jest, to czemu nauczycielka nie zadaje do domu. Trudno wytłumaczyć takiej matce, że jej własne dziecko nie rozumie tego, co robi, nie umie pracować samodzielnie i pracę z nim musi prowadzić tylko nauczycielka.

Wspomniałam o rękach kierownika. Są ciemne, zaniedbane i zadrapane, on sam jest chory, a nie może się położyć, połowa personelu (10-osobowy) chora na grypę. Pan Zieliński pokazuje mi wykaz prac społecznych na terenie szkoły wartości 10.000 zł rocznie. Są tam takie pozycje jak malowanie okien, wstawianie szyb, zagospodarowanie dziś już wzorowego ogródka szkolnego, mycie i wszelkie cięższe prace fizyczne. „Muszę to robić sam: inaczej rodzice nic by nie pomogli, środowisko niesamowicie kołtuńskie, muszę dać przykład". Opowiada, że parę razy siedział na walizkach, był zmęczony, a poza tym klimat niezdrowy, zimno, brak pieniędzy. Został jednak z Agnieszką, która z rozpaczą patrzy w okno: spadł śnieg, więc plan na jutrzejszy dzień zmienia się, wieczorem znów będzie układała punkty w konspekcie.

Dla Agnieszki postuluję: to jest eksperyment, jeszcze nie wiadomo, czy udany, bowiem Agnieszce brak fachowej lektury, pomocy ludzi — więc dać Agnieszce pomoce, tablice, wykazy, plansze i wreszcie trochę pieniędzy. Dla tych dzieci specjalnej troski. Dlaczego tak nisko się ceni pracę tej kobiety w środowisku liczącym w sumie 2.000 mieszkańców? Ułatwić Agnieszce studia; uważam Agnieszkę za wspaniałą kobietę. Kogo byłoby stać na tyle cierpliwości i poświęcenia?

Agnieszka ostatnia jest polonistką. Pracuje w wysoko zorganizowanej szkole wiejskiej, 5 nauczycieli, instruktor do muzyki. Szkoła ma światło, radio, adapter, własny projektor, dzięki któremu co sobota wyświetla się dzieciom kolorowe bajki. Agnieszka dużo czyta. Ale i ona ma kłopoty. Podjęła się pracy w zespole teatralnym w Kole Gospodyń, a tu przewodnicząca koła nie daje żyć, nie daje pracować. Wieczory Agnieszka spędza nad nowym, grubym podręcznikiem planu nowej szkoły podstawowej. Pokazuje mi książkę i mówi: żadnych wskazówek, nic, żadnego wykazu lektur, a dzieci wiejskie nie grzeszą inteligencją. Co mam wybrać? Kierownik szkoły, aktualny prezes okręgu powiatowego ZNP, a mąż Agnieszki, ma znowu kłopoty lokalowe, nie ma gdzie umieścić klasy ósmej, pieniądze na remont kapitalny szkoły dostanie z Inspektoratu w 1969 r., a tutaj tak ciężko namówić ludzi do pracy społecznej.

Agnieszka pamięta te czasy, kiedy do pokoju kierownika wtargnęły kobiety i oznajmiły stanowczo, że on jest do uczenia, a one do rządzenia. Przez siedem lat pracował kierownik z żoną na autorytet, ale warto było. Bo przecież na wsi, ludzie u których nocowałam, powiedzieli mi, że oni są bardzo dobrzy, a kierowniczka złota kobieta. Opiekuje się zaniedbanymi malcami, nawet myje te dzieci u siebie, w mieszkaniu na piętrze, naprawdę dobra nauczycielka. Dzieci w szkole jest 100, praca dwuzmianowa, ale Agnieszka powiada: wrosłam w środowisko, znam ludzi, a poza tym wszędzie trzeba zaczynać od nowa. Tylko te pieniądze. Ludzie nie jedzą, a składają, na co? Lepiej dzieciom by dali, czy pomogli szkole.

Barbara jest magistrem filologii polskiej. Ma VI klasę w pięknej Tysiąclatce. Pamiętam ją z ćwiczeń: przeciętna wiedza, dużo pewności siebie, dużo gadania o jej perspektywach naukowca. Przy spotkaniu pytam ją, czy jest zadowolona z pracy. Coś ty, uważasz mnie za idiotkę, ale gdzie pójdę? Nie, nie myślę o tej osóbce w śmiesznym, wymyślnym kapeluszu, że jest idiotką. Ale czy jest człowiekiem społecznie użytecznym? Zawód nauczyciela jest zbyt nisko ceniony, może to wina takich właśnie ludzi. Barbara przypomina mi Agnieszkę z Dąbrówki. Dlaczego nie zauważa się pracy w terenie tych młodych kobiet, często skazanych na własną wiedzę i to skromną, nie przystosowaną do pracy w środowiskach wiejskich? I czemu toleruje się Barbary, które nie ukrywają faktu, że gwiżdżą sobie na pracę i na nasze dzieci, dla których pani jest autorytetem? Barbara pytała, gdzie pójdzie, dokąd? Szkoda, że nie na wieś, by poznać pracę swoich koleżanek po fachu, córek Kolumba, które znalazły swoje miejsce w życiu.

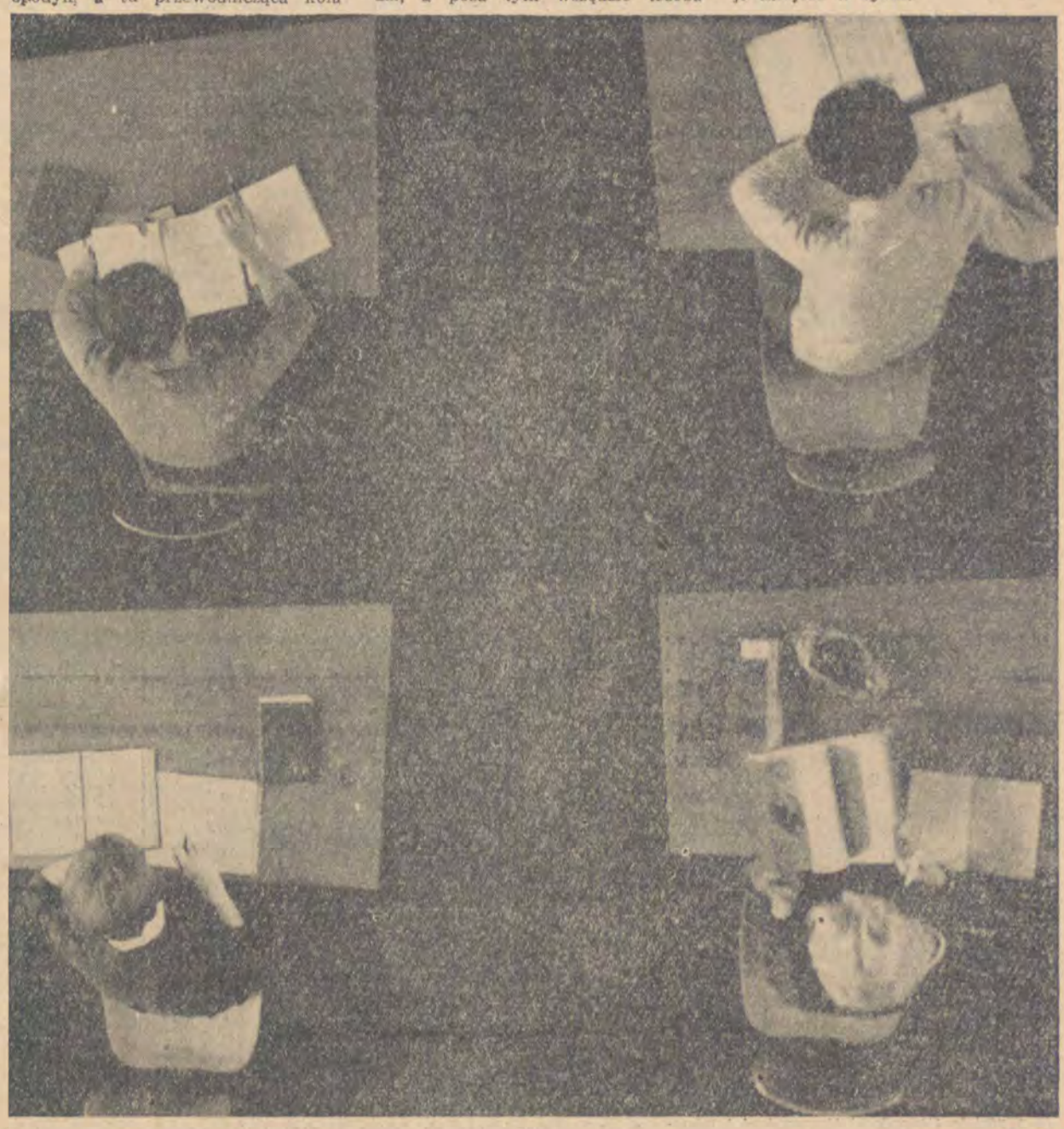

Fot. E. Kudaj

HENRYK KATZ

DRAMAT SPRZED STU LAT

31 sierpnia 1864 roku zginął w romantycznym pojedynku człowiek, który fascynował współczesnych i stał się po swej śmierci obiektem dysput ideowych, niewygasłych po dziś dzień. Był nim Ferdynand Lassalle. Skoncentrujemy się w tym szkicu na zarysie dramatu jednego życia i jednej śmierci, głębsze zaś problemy ideowe i polityczne związane z tą postacią oraz jej stosunki z największym swym protagonistą, Karolem Marksem, pozostawimy do odrębnego omówienia.

Ferdynand urodził się w 1825 roku we Wrocławiu, jako syn zamożnego kupca żydowskiego. Mimo dużych zdolności i świetnych wyników w egzaminach wstępnych natrafił — jako Żyd — na trudności w przyjęciu na studia uniwersyteckie. Przyjęto go ostatecznie na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu we Wrocławiu. Lassalle — jak wielu niemieckich inteligentów jego pokolenia został młodoheglistą, entuzjazmował się Feuerbachem, był wstrząśnięty powstaniem śląskim 1844 roku.

Mając lat 19, Ferdynand Lassalle zaangażował się w dość niezwykłej sprawie, która rychło przyniosła mu rozgłos. Sensację opinii publicznej wywołała walka, jaką toczyło małżeństwo hrabiowskie Hatzfeld. Hrabia Hatzfeld poślubił swą żonę, księżniczkę z urodzenia, w celach wyłącznie materialnych, a po pewnym okresie współżycia począł ją szykanować i prześladować niemiłosiernie. Hrabina nie mogła znaleźć nigdzie opieki, ani sprawiedliwości, nie była też w stanie doprowadzić do rozwodu. Do usług tej dwadzieścia lat od siebie starszej kobiety oddał się Lassalle. Zdołał przekonać dużą część opinii, że w osobie hrabiny została pogwałcona prawda i sprawiedliwość, że jej krzywda jest obrazą człowieczeństwa. Walka toczyła się przez osiem lat i zakończyła w 1854 roku pełnym zwycięstwem tej niezwykłej pary: niemieckiej arystokratki i żydowskiego intelektualisty, który — warto dodać — z wykształcenia był filozofem, a nie prawnikiem.

W lutym 1848 roku Lassalle został aresztowany w związku z kradzieżą dokonaną w domu hrabiego Hatzfelda. Lassalle w istocie kradzież tę zaaranżował, gdyż spodziewał się, że znajdzie w szkatułce hrabiego Hatzfelda pewien kompromitujący dokument. Gdy Lassalle stanął w sierpniu tego roku przed sądem przysięgłych, w sześciogodzinnym przemówieniu dowodził, że w całym swym postępowaniu bronił jedynie pogwałconej idei praw człowieka. Sąd, który odbywał się w Kolonii, twierdzy niemieckiego liberalizmu i demokracji, uwolnił Lassalle'a od winy i kary.

Nastąpiła klęska rewolucji. Lecz pod koniec lat pięćdziesiątych Niemcy poczęły otrząsać się z ciężkiego okresu reakcji i politycznej bierności. Ożywiała się liberalna opozycja, widoczne też były oznaki nowego przebudzenia proletariatu niemieckiego. Z przywódców skrajnej lewicy demokratycznej najwybitniejsi — jak K. Marks i F. Engels — znajdowali się na wygnaniu, wielu innych odeszło od ruchu. Na placu boju pozostawał Ferdynand Lassalle. Z Nadrenii przeniósł się on jeszcze w 1857 r. do stolicy państwa — do Berlina. Był obecnie człowiekiem zamożnym, żyjącym na szerokiej stopie, a dom jego, któremu patronowała hrabina Hatzfeld, odwiedzali luminarze świata towarzyskiego i intelektualnego. Lassalle realizował pewne ambitne prace literackie i naukowe. Na dobre swą działalność polityczną rozwinął dopiero w 1862 roku. W kwietniu tego roku wygłosił on przemówienie do audytorium robotniczego, a jego tekst wkrótce ukazał się pod nazwą „Program robotniczy". Broszura Lassallea rychło uległa konfiskacie, a przeciw autorowi wszczęto postępowanie o „publiczne podburzanie klas nie posiadających, do nienawiści i pogardy dla klas posiadających". W broszurce tej, jak i w innych kolejnych wystąpieniach i pismach, Lassalle począł wysuwać na czoło hasło powszechnego prawa wyborczego oraz spółdzielczości robotniczej, która by korzystała z pomocy i patronatu państwa. Natrafił on na podatny grunt w postaci spragnionej programu i kierownictwa klasy robotniczej. W grudniu tego roku zwrócili się do Lassalle'a robotnicy Saksonii z wezwaniem, by korzystając ze swego autorytetu, zwołał ogólnoniemiecki kongres robotniczy. Świetny pisarz, mówca i agitator o ujmującej powierzchowności, demon pracy i organizacji, otoczony legenda lat czterdziestych. Lassalle szybko zyskał sobie setki i tysiące fanatycznych zwolenników, których wcielał do stworzonego przez siebie w 1863 roku Powszechnego Niemieckiego Związku Robotniczego. Równocześnie pozwolił otoczyć swą osobę nieomal religijnym kultem. Stał się szybko potęgą na arenie politycznej. Począł bywać nawet u Bismarcka, przed którym rozwinął koncepcję pewnego kompromisu politycznego. Premierowi Prus przypadł nawet do serca, a pertraktował z nim, w imieniu rosnącej potęgi zorganizowanego ruchu robotniczego, jak równy z równym.

W ciągu jednego roku agitacja Lassalle'a poczyniła ogromne postępy. Na początku 1864 roku wybuchła wojna o Szlezwik i Holsztyn, której życzył sobie Lassalle i w której Bismarck — w zamian za obietnicę powszechnego prawa wyborczego — uzyskał poparcie związku lassallowskiego. Lecz po zwycięskiej wojnie Bismarck ochłódł w swym stosunku do przywódcy robotników. Przeciw Lassalle'owi poczęły wytaczać władze coraz to nowe dochodzenia, aż wreszcie sąd w Düsseldorfie skazał go na 12 miesięcy więzienia, zamienionych na sześć miesięcy w wyniku apelacji.

Wykonanie wyroku miało rozpocząć się na jesieni 1864 roku, a Lassalle postanowił wykorzystać przerwę, by z końcem czerwca udać się do Szwajcarii celem podreperowania zdrowia. W uzdrowisku Rigi Kaltbad, leżącym wśród przepięknej górskiej przyrody spotyka on młodą piękną dziewczynę, Helenę von Dönniges. Pomiędzy Ferdynandem (wówczas 39-letnim), a Heleną dochodzi do gorącej miłości, której na przeszkodzie stają jej rodzice. Następuje rozstanie, a Helena zaręcza się z młodym arystokratą rumuńskim, nazwiskiem Rakowitz. Wkrótce zostaje on wyzwany na pojedynek przez Lassalle'a. Jeden z przyjaciół Lassalle'a ostrzega go, by nie ważył się pójść na plac pojedynku przed wyćwiczeniem się w obchodzeniu z pistoletem. Lassalle lekceważy to ostrzeżenie. Pojedynek miał miejsce w Rigi Kaltbad rankiem 28 sierpnia 1864 r. Lassalle padł od strzału swego przeciwnika, ciężko ranny w brzuch, zanim zdążył pociągnąć za cyngiel swej własnej broni. W trzy dni później Lassalle zmarł.

Zszedł ze sceny historii człowiek. Narodziła się legenda, która przeobrażając się w szczegółach faktów i interpretacji, stała w ciągu stu lat w ogniu wielkich kontrowersji.

CENA STRACHU...?

Dalszy ciąg ze str. 1

przeznaczyło ze swej strony pewne tereny pod działki budowlane — na Hipotecznej i Grunwaldzkiej, na Pojezierskiej (tu było około 200 działek), potem na Namiotowej (na Zdrowiu) — około 120 działek, potem w rejonie ul. Fornalskiej na Karolewie (około 30 działek), między Narutowicza i parkiem 3 Maja (50) i wreszcie oddało olbrzymie tereny w Rogach, gdzie starczy miejsca dla 1.000 amatorów własnego dachu nad głową.

A że „Rogi" z miejsca zapowiadały się imponująco, utworzono nawet spółdzielnię, która zrzeszyła wszystkich drobnych posiadaczy oszczędności i która w dużym stopniu skróciła im drogę do owego dachu. W Rogach stoi już około 200 domków, dalszych 800 działek czeka na chętnych.

Niektórzy wtajemniczeni jednak twierdzą, że „Rogi" jeszcze dość długo czekać będą na tych 800 amatorów. Bo był taki okres w historii spółdzielczej inicjatywy budowlanej w Rogach, który tej inicjatywie nieco nadszarpnął opinię. Pierwsze domki bowiem budowano z gipsu (bo cegieł brakowało, a spółdzielcy naciskali na zarząd), a przedsiębiorstwo w Dolinie Nidy nie udoskonaliło jeszcze swej produkcji gipsowych materiałów, więc i jakość domków rogowskich nie była najwyższa.

Dość, że niektórzy członkowie uważali, że po prostu dali się nabrać. Teraz (choć „Nida" dostarcza już materiały gipsowe dobrej jakości) „Rogi" budują z cegły, sądzić też należy, że najwyżej w przyszłym roku opinia o spółdzielczym budownictwie w Rogach zacznie się poprawiać.

Ale na Rogach Łódź się nie kończy. Obecnie przygotowywane są tereny pod budownictwo indywidualne na Komornikach (płd.-wschód od dworca chojeńskiego), na Rokiciu (za torem kolejowym, między Prądzyńskiego i Pustynną), na Julianowie (między Zgierską, Julianowską, Okopową i Inflancką).

* * *

O człowieku budującym własny domek mówią, że albo to facet bardzo odważny, albo bardzo bogaty. Tej drugiej opinii co prawda już coraz mniej w obiegu (ostatnio słyszeliśmy tylko o jednym takim przypadku — gość przez długie lata płacił za mieszkanie kątem parę złotych miesięcznie, aż okazało się, że ma własną... wytwórnię galanterii, a kilka kilometrów dalej kończy właśnie budowę luksusowej willi). Więc najczęściej budować się, oznacza mieć silne nerwy, odwagę, cierpliwość, czyli wszystkie te cechy, którymi musieli dysponować bohaterowie filmu „Cena strachu". Jaka jest zaś ta cena strachu w Łodzi?

W Wydziale Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej poinformują cię dokładnie, bynajmniej nie wprowadzając w błąd, nie wciągając w kabałę. Od miasta możesz dostać działkę (od 300 do 600 m kw), a jej cena — przeciętnie 2 zł za metr (w zależności od strefy). Dostajesz ją na tzw. wieczyste użytkowanie, czyli na 99 lat. Jeśli chcesz przeznaczyć na własny dach nad głową jakieś 120—150 tysięcy (standard raczej niski, bo państwo nie może popierać luksusu i szykan), a dysponujesz wkładem od 25 do 30 proc. tej sumy, możesz starać się o bankową pożyczkę. Można pożyczyć najwyżej 100 tysięcy.

Oczywiście zanim ci bank wypłaci I ratę pożyczki i projekt budynku i lokalizację budowy, musisz już mieć poza sobą. Wkład pracy własnej przy wznoszeniu dachu nad głową jest pożądany, nie jest to jednak warunek sine qua non. Jeśli masz swój plac, musisz postarać się o opinię władzy dzielnicowej (Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury) — ona powinna stwierdzić, czy twój domek nie koliduje z innym przeznaczeniem terenu. Jeśli kolizja istnieje, Wydział postara ci się o dzierżawę innej działki.

Więc pożyczkę już mamy, mamy lokalizację i projekt, dobre chęci i nawet materiały budowlane („w Łodzi jest obecnie pełne pokrycie w materiały budowlane" — słyszeliśmy w Wydziale) — nic więc, tylko budować. Zanim jednak przystąpimy do budowy, posłuchajmy jeszcze tylko opowieści człowieka, który o budowie zaczął myśleć dużo wcześniej od nas, bo już w roku 1961...

* * *

— Wie pan, mówił, chodziło mi tylko o małą nadbudówkę. Miałem na parterze 2 izby, teraz chciałem nad nimi dobudować dalsze dwie oraz węzeł sanitarny, bo w tym domku tyle lat już nie ma ani wody, ani kanalizacji. Uskładałem kilkanaście tysięcy i chciałem zacząć robotę. Ale, wie pan, rzecz zaczyna się od projektu. Projektantów w Łodzi masa, ale nikt nie chciał mi zrobić projektu według cen oficjalnych, więc za robotę, która powinna kosztować jakieś półtora tysiąca, trzeba było zapłacić więcej, niż dwa razy tyle. Zapomniałem jednak o lokalizacji. W Wydziale, w dzielnicy orzekli, że zgadzają się na nadbudówkę, ale na tę opinię i tak miałem czekać trzy miesiące. Bo nagle wynikły trudności, których początkowo nikt nie dostrzegł.

— Tutaj mają stanąć pawilony handlowe — mówiono mi o tych trudnościach — więc i to co już stoi, trzeba będzie kiedyś rozebrać.

— Jak to ?! — dziwiłem się — a te nowe domy obok mnie, które postawiono niedawno, czy one nie będą przeszkadzać pawilonom?

Jakoś ustąpili, ale, jak już panu powiedziałem, dopiero po trzech miesiącach.

Zatwierdzenie projektu też zabrało trzy miesiące, a gdy wreszcie złożyłem podanie o pożyczkę (60 tys. zł) i wpłaciłem swoje 12 tysięcy (20 proc. od tego co miałem dostać) przypuszczałem, że teraz wszystko pójdzie gładko. Gdzie tam!

Na pierwszą ratę pożyczki czekałem dalsze pięć miesięcy. No, ale przecież po roku tego chodzenia, szukania i czekania mogłem przystąpić do budowy.

Tylko nie miałem jeszcze rzemieślników. Bo to tak: żadna spółdzielnia pracy tego się nie podejmie — za mały to przerób do planu. To samo rzemieślnicy, wszyscy prawie należą do spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu, a i ta spółdzielczość rzemieślnicza ma co robić w mieście. Więc budowę zacząłem sam, a pomagał mi w tym pewien murarz, wysupłany skądś przez cały łańcuch znajomych i krewnych. I tak się zaczęło.

Pyta pan o materiały? Z cementem miałem trudności, bo w sezonie go brak i na dużych budowach w nowych osiedlach, więc poratowało mnie Zrzeszenie, do którego należę z tytułu tych dwóch izb na parterze. Można dostać łatwiej cement po sezonie, ale gdzie go miałem przechować do wiosny, żeby mi nie skamieniał?

Nie powiedziałem jednak panu o tym, że bank skreślił mi część pożyczki przeznaczonej na węzeł sanitarny, bo akurat takie były przepisy. Ostatnio bank już tych pozycji nie uważa za luksus i nie skreśla. Gdy więc zacząłem się starać o pieniądze na te rury dla wody i kanalizacji, był już wrzesień i bank pieniądze by wypłacił, cóż kiedy ich już nie było, bo we wrześniu Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej właśnie zgłosił je bankowi jako nie wykorzystane w br.

Ale i tak mi się poszczęściło — kredyt dostałem ze spółdzielni, która robi ten węzeł, zwrócę jej, gdy tylko bank będzie mi mógł wypłacić ze swojej kasy. Spółdzielnia zrobiła już zresztą swoje, a teraz tylko jeszcze trzeba połączyć moje instalacje wodne z rurami na ulicy (cztery metry), aby po tylu latach zacząć i w tym domku działać węzeł sanitarny. Czy pan wie jednak, że na to czterometrowe połączenie czekam już pięć miesięcy? A przecież to drobiazg, kosztuje tylko 530 zł. Takie nic, a czekam na to i ja, i kwaterunek, któremu mam zdać mieszkanie, czekają i ci, co złożyli w nim podania. Moje nowe mieszkanie zaś w nadbudówce czeka tylko na robotnika z Przedsiębiorstwa Wodno-Kanalizacyjnego i na te cztery metry rury.

A co ogólnie? — pyta pan. Według mnie trzeba by coś zrobić z tym nieporozumieniem. Bo, widzi pan, państwo popiera, daje kredyty, nawet urzędnicy w wydziałach mają już coraz większe zrozumienie dla takich jak ja męczenników, ale w praktyce, gdy już człowiek zabierze się do roboty, jakoś nie wychodzi. Czy pan wie, że przez trzy lata nie miałem urlopu, tylko chodziłem w tych swoich sprawach po urzędach, po sklepach i hurtowniach w poszukiwaniu materiałów, a gwoździ nawet brakuje trzy i pół calowych, nie mówiąc już o sprzęcie elektrotechnicznym, płytach pilśniowych laminowanych (tak je reklamują, bo to sukces naszej chemii, ale kupić trudno), o farbach... Żeby tylko dowiedzieć się w Wydziale, w dzielnicy, jak wygląda moja sprawa, chodziłem trzydzieści kilka razy. Znajomi mówią mi, że będę miał kiedyś swój dach nad głową, ale i zawa do tego...

Na Karolewie stoją już od kilku lat pod dachem dwa domki, stoją, ale nikt ich nie wykańcza. Dlaczego, zapyta pan? Może ich właściciele załamali się pod ciężarem kłopotów, a może przeliczyli się w trakcie budowy i teraz zabrakło im pieniędzy, albo może pieniądze mają, tylko nie wiedzą jak je udokumentować wobec Wydziału Finansowego. A może siedzą? Jak pan chce, niech pan to sprawdzi...

* * *

Tego nie sprawdzaliśmy. Bo jak ktoś kradł to teraz musi siedzieć, a trudno za zarobione z pracy więźnia pieniądze kończyć budowę własnego domu. Może to jednak przykład podobny do tego, o którym słyszeliśmy w Wydziale? Człowiek wybudował domek, oddał mieszkanie kwaterunkowi, zamieszkał w swym domku, ale gdy przyszli inspektorzy finansowi, okazało się, że właściciel będzie musiał zapłacić 50 tysięcy domiaru od „dochodów nieudokumentowanych". Albo inspektorzy pomylili się w ocenie wartości obiektu, albo facet był słaby w rachunkach i wydał więcej, niż to wynikało z kosztorysu i pożyczki bankowej.

Albo też wbrew temu, co mówił wszystkim naokoło — bynajmniej przez te 20 lat po wojnie nie był wcale ascetą, co to ani papierosa, ani kieliszka wódki. A wtedy nie wiadomo z czego odłożył 120 tysięcy.

FELIKS BĄBOL

REPORTAŻ z paragrafem

Nie jest przyjęte zabieranie głosu w sprawie, która dopiero znajdzie swoje rozstrzygnięcie przed sądem. Dopóki bowiem człowiek nie zostanie skazany prawomocnym wyrokiem, słusznie chroni go zasada domniemania niewinności, nawet wówczas, gdyby jego wina jeszcze przed rozprawą zdawała się nie budzić żadnych wątpliwości. A jednak wyjątkowe okoliczności faktyczne zmuszają mnie do uchylenia zwyczajowego tabu milczenia.

W dzień potem, jak otrzymacie do rąk numer waszego tygodnika, rozpocznie się przed Sądem Powiatowym w Łodzi, przy drzwiach zamkniętych, proces trzech młodych ludzi: Kazimierza M., Zygmunta L. i Grzegorza G., oskarżonych o gwałt niespełna osiemnastoletniej dziewczyny, uczennicy XI klasy liceum. (Sprawa czwartego oskarżonego, nieletniego Michała K., została zakwalifikowana do postępowania odrębnego). Gwałt zbiorowy nie jest w kazuistyce art. 204 kk czymś wyjątkowym.

Ale ten gwałt (nr akt VII kp 1735/64), jeśli rozprawa potwierdzi zarzuty postawione oskarżonym przez prokuraturę, przekracza wszelkie wyobrażalne stopnie brutalności.

Jest to przypadek nie opisany w dostępnych mi podręcznikach medycyny sądowej, które zestawiają liczną i różnorodną kazuistykę. Wystarczy powiedzieć, że łączył się z bezprzykładnym poniżeniem i udręczeniem ofiary w stopniu graniczącym ze zboczeniem, chociaż dotyczy mężczyzn najzupełniej zdrowych psychicznie. Kwestia poczytalności jednego z oskarżonych, który notabene został w czerwcu br. skazany nieprawomocnym jeszcze wyrokiem sądu za gwałt, została podniesiona przez obronę już w toku śledztwa, ale opinia lekarzy psychiatrów, zdaje się, rozwiała wątpliwości zupełnie nie po myśli adwokata. Wszystkich oskarżonych cechuje wstręt do pracy. Może wynika po prostu z braku czasu. Zygmunt L. był skazywany przez sądy 5 razy, zaś Grzegorz G. 2 razy, ale za to cztery przestępstwa (w jednej sprawie wydano wyrok łączny za trzy czyny podlegające karze). Prócz tego przeszkadzały im pewne nawyki towarzyskie, lubili bowiem pasjami życie kawiarniane. W dniu, który został zapisany w akcie oskarżenia, też nie odmówili sobie wizyty w „Balatonie", a po wszystkim szukali azylu w „Tivoli". Milicja, zaalarmowana przez koleżankę ofiary, której udało się umknąć przez okno, po wielogodzinnym dobijaniu do drzwi zastała w mieszkaniu tylko Michała K. oraz jego kolegę Kazimierza O., świadka zajścia. Spoza oskarżenia wyjęto również Ryszarda Ł., który zeznał, że w krytycznym momencie przebywał w kuchni, gdzie dopił butelkę wina.

Oskarżeni nie przyznają się do winy zaprzeczając, że w ogóle znajdowali się w mieszkaniu. Jest to ich prawem, ciężar udowodnienia przestępstwa spoczywa bowiem na organach ścigania. Trzeba przyznać, że prokuratura zrobiła sporo, aby wszyscy winni znaleźli się na ławie oskarżonych. Dwaj podejrzani, a mianowicie Zygmunt L. i Grzegorz G., ukrywali się bowiem jakiś czas przed milicją i zdążyli wywrzeć presję na pokrzywdzoną i jej koleżankę, które, przestraszone perspektywą zemsty kompanów oskarżonych demonstrujących swą siłę podczas przypadkowego spotkania na ulicy, nie rozpoznały celowo Zygmunta L. i Grzegorza G. w czasie tzw. okazania. Wobec tego, zwłaszcza, że ofiara nie znała nazwisk, ani adresów sprawców gwałtu, podając tylko usłyszane w mieszkaniu imiona i pseudonimy (co nałożyło na organa ścigania obowiązek żmudnych poszukiwań w celu ustalenia tożsamości gwałcicieli), oskarżeni zostali zwolnieni z aresztu. Nie na długo zresztą. Drobiazgowe śledztwo ujawniło jednak to matactwo oskarżonych i w czasie ponownego okazania obie dziewczyny bez trudu wskazały oskarżonych wśród innych, przybranych mężczyzn.

Przestrach obu dziewcząt, wywołany groźbą zemsty ze strony kolegów oskarżonych, rzuca też sporo światła na samo zdarzenie, za które Zygmunt L. i Grzegorz G. odpowiadać będą przed sądem. Jest on bowiem dowodem tego, że obie dziewczyny wiedziały już, do czego są zdolni sami oskarżeni i ludzie z ich kręgu. Świadczy o stopniu bezwzględności i cynizmu oskarżonych. Paniczny lęk przed ponownym spotkaniem się z okrucieństwem ludzi podobnego, co oskarżeni pokroju, stłumił w tych dziewczętach chęć usprawiedliwionego zadośćuczynienia i odwetu.

Chociaż rozprawa jeszcze się nie rozpoczęła można z góry przewidzieć linię obrony oskarżonych. Panowie obrońcy bić będą zapewne w to, że obie dziewczyny udając się do mieszkania mężczyzn (z których znały tylko jednego, a i to z widzenia), pijąc z nimi wino i przyjmując propozycję potańcówki, w jakiś sposób same przyczyniły się do tego, co się w tym mieszkaniu przy ul. Zacisze stało w dniu 1. VIII. br. To, że obie dziewczyny udały się do mieszkania Michała K. będzie zdaniem obrony okolicznością łagodzącą dla oskarżonych, gdyż zarówno ofiara, jak i jej koleżanka powinny zdawać sobie sprawę z tego, po co tam idą. Otóż właśnie: obie dziewczyny zachowały się równie lekkomyślnie, jak i nieświadomie. Dość stwierdzić, że ofiara nie bardzo nawet wiedziała, że uległa defloracji. Ból kojarzyła sobie raczej z walką z napastnikami, niż z samym aktem. Nie dziwmy się zresztą jej oszołomieniu. Wprowadzenie w misterium miłości odbiegało znacznie od wszystkiego, co dotychczas znamy na ten temat w prawie i literaturze.

Powstaje jednak pytanie, czy wszyscy mężczyźni znajdujący się tamtego dnia w mieszkaniu przy ul. Zacisze wiedzieli po co tam idą, czy też ten wyższy stopień wiedzy był udziałem samych oskarżonych. Czy wyłączeni z aktu oskarżenia świadkowie zajścia, koledzy oskarżonych, tolerowali tylko to, co się tam działo, czy też sprzyjali pastwieniu się kumpli nad ofiarą? W szczególności czy Ryszard Ł. zdawał sobie sprawę z tego, że uniemożliwiając wraz z oskarżonymi wyjście dziewczyny z mieszkania współdziałał w czynie przestępczym. Na to pytanie akt oskarżenia nie udziela, niestety, odpowiedzi. Stwierdza jednak, że ofiara „nie zdążyła opuścić mieszkania(...), gdyż K., M., G. i Ł. odepchnęli ją od drzwi mówiąc, że nie wypuszczą".

Prawo nasze nie zna odpowiedzialności zbiorowej, ale nie można dopuścić do tego, aby uszła odpowiedzialności chociaż jedna osoba nawet wtedy, gdyby jej wina była mniejsza od winy głównych sprawców. Nie chcę tu absolutnie niczego przesądzać. Sumienie moje nakazuje mi jednak postawić ten znak zapytania.

KONRAD FREJDLICH

LISTY do REDAKCJI

Byłem jednym z tych, którzy w styczniu 1945 roku zajęli redakcję „Litzmannstaedter Zeitung" (hitlerowska gazeta wydawana w czasie okupacji w Łodzi), aby wydać pierwszą powojenną polską gazetę pn. „Wolna Łódź". Wśród korespondencji pozostawionej przez redaktorów „Litzmannstaedter Zeitung" znaleźliśmy również listy dotyczące licznych cmentarzy wojskowych — zabytków I wojny światowej.

Czytelnicy — Volksdeutsche zwracali w tych listach uwagę, że cmentarze wojenne są straszliwie zaniedbane (in schrecklicher Verwuestung). Inni zapytywali, co zrobić z mogiłami rosyjskich żołnierzy, wrzynającymi się w niemieckie pola uprawne? Były nawet wręcz humorystyczne pytania w rodzaju: — Czy można spożywać bez szkody dla zdrowia grzyby, obficie rosnące na starych wojennych grobach?

Odpowiedzi na te listy były bardzo rzeczowe, podbudowane prawami narodowo-socjalistycznymi. A więc: — W dobie, kiedy naród niemiecki pod wodzą führera walczy o swoją przyszłość kiedy nawet bohaterów odznaczonych Żelaznymi Krzyżami nie wolno chować w metalowych trumnach, kiedy każdy kilogram cementu jest potrzeby do budowy bunkrów — nie czas myśleć o restauracji pomników i nagrobków. Zbiorowe mogiły rosyjskich żołnierzy uległy już przedawnieniu i można je kasować, zwłaszcza, gdy leżą w uprawnym polu. Grzyby rosnące na mogiłach sprzed 30 lat, jako bardzo wartościowy produkt natury mogą być spożywane bez żadnej obawy.

Starsze pokolenie, pamiętające walki listopadowe pod Łodzią w 1914 roku, wie doskonale, co Niemcy robili z masami trupów, pozostałych na licznych pobojowiskach. Tylko Niemiec miał prawo do oddzielnego grobu. „Rosjan", wśród których było również wielu Polaków, zsypywano do masowych mogił warstwami, albo zasypywano w okopach, które równano z ziemią. (Jeden z takich okopów, pełen trupów, odkryto przed miesiącem pod Kochanówką).

W zamieszczonym w „Odgłosach" artykule pt. „Bitwa pod Rogowem" Mieczysław Jagoszewski pisze: „Czy nie warto by znaleźć środków i sposobów, ażeby cmentarz wojenny w Rzgowie — niezwykle interesujący obiekt historyczny — ocalić od dalszego niszczenia?"

Przede wszystkim — nikt tego cmentarza (ani innych cmentarzy wojennych z I wojny światowej) nie niszczy. Niszczy je nieubłagany czas, który niweluje również wszystkie groby pozostawione bez opieki najbliższej rodziny zmarłego.

Powinniśmy raczej pomyśleć o uczczeniu innych ofiar listopadowych walk pod Łodzią w r. 1914. Podczas oblężenia Łodzi, zginęło kilka tysięcy mieszkańców podłódzkich okolic, kilka tysięcy z Bałut w czasie 19 dni bombardowania postradało życie! To im właśnie należałoby poświęcić jakąś pamiątkową tablicę.

HENRYK RUDNICKI

JAN BĄBIŃSKI

Boruta na cokół

Początek zrobili bracia Jabłońscy, chociaż dla nich był to początek najfatalniejszy w skutkach.

Czyż legenda powtarzana z ust do ust od czasów, zdawać by się mogło niepamiętnych, nie głosiła, że skarby są nieprzebrane? Leżą pod kazimierzowskim zamkiem, gdzieś w ukryciu, w niedostępnym zakamarku. Stos złota i brylantów, na tym stosie imć pan Boruta, zaklęty we wszystkowidzącą sowę. Bracia Jabłońscy słyszeli legendę tyle razy, iż wzięli ją za oczywistą prawdę. Mit stał się dla nich ciałem.

Gdy nadeszła noc, zakradli się pod sędziwe mury i dalej żłobić przekop.

Harowali po chłopsku, do siódmego potu. Już im wirowały czerwone płaty przed oczami, już brakło im oddechu, a oni wciąż parli naprzód wąziutkim tunelem, z łopatami w ręku. Wytrwają, nie poddadzą się, choćby nie wiedzieć co. Przecież tuż, tuż za tą ścianą z gliny błyszczą w półmroku królewskie kamienie. „Nie będzie miał diabeł z wami nic, jeśli diamentem będziecie". Więc obaj bracia poradzą sobie z Borutą byle dotknęli dłonią jednego tylko kamienia. Potem już jakoś będzie, „złe języki diamentu nie ukąszą...".

Obruszyła się góra piasku, zasypała śmiałków.

Bracia Jabłońscy leżą na łęczyckim cmentarzu, requiescant in pace.

Minęło pół wieku od tragicznej śmierci odważnych pionierów i pradawna legenda odżyła na nowo. Na błoniach, w pobliżu zaczęli pojawili się wiertacze. Mieli grube kombinezony, kaptury na głowach, gumiaki po kolana. Z daleka można ich było wziąć za nafciarzy spod Krosna, lub dalekomorskich rybaków. Byli istotnie na łowach, tylko że łowili nie harpunem, lecz zębatym świdrem. Wbili palik w błotnistą ziemię i zaczęło się.

Pamiętam ten dzień, zimny, wilgotny — i ten nastrój pełen wyczekiwania i melancholii pamiętam — jesień nigdy nie nastraja radośnie.

Grupka zziębniętych wiertaczy spoglądała bez słowa w niewielki otwór, jak w dziurkę od klucza. Co przyniesie świder z głębin zamkniętych na cztery pieczęcie? Jaką da odpowiedź? Nafta, węgiel brunatny? Chyba jednak węgiel. W dali uśpione miasteczko, cisza, spokój, tuż obok dudniący w jednostajnym rytmie aparat wiertniczy, zawieszony na prowizorce z belek, słupów, desek rzec by się chciało, zawieszony na gwoździu. Raptem zawrzało. To nie nafta, ani węgiel, to ruda, prawdziwa ruda żelazna.

Meldunek piął się po wszystkich szczeblach, aż dotarł do najwyższego.

Ruda? Wspaniale, prosimy dokładnie określić jej wartość, ustalić jakość złoża, jego wielkość. Sprawa jest najwyższej wagi. No więc, dokładnie 10 lat temu, sprowadzono do Łęczycy 40 aparatów wiertniczych, rozwinięto natarcie w paśmie długości 30 kilometrów. W pastwiska grunty orne i moczary wryło się kilkadziesiąt czujek. Zaczęły się ekspertyzy, analizy, laboratoryjne zabiegi, kalkulacje.

Na decyzję trzeba było zaczekać.

Blac na bardzo wysokim szczeblu może kosztować nie tylko kilka, ale też i kilkaset milionów złotych.

Cierpliwości. Wreszcie decyzję powzięto, była dla Łęczycy niby owa gwiazdka spadająca z nieba. Dano placet, można wiercić, można stawiać szyby, można budować kopalnie. Ruda na polskim niżu, jaka ma ona wartość? Praktyk, mający za sobą kilkadziesiąt lat pracy w kopalniach Lotaryngii odparł. — To 30-procentowy syderyt o dużej zawartości topnika. — Wybitny ekspert dodał. — To są oolitowe rudy żelaza, zawierające przede wszystkim węglan żelazawy, a także krzemiany, chociaż zawartość żelaza jest w nich niewysoka. Stężenie pierwiastka bywa różne. Dla żelaza potrzebny jest wzrost stężenia w granicach 24—47 procent, tylko wtedy eksploatacja staje się opłacalna.

Łęczycka ruda mieści się zatem w tych granicach, choć daleko jej, ale to bardzo daleko do magnetytowo-apatytowych pokładów w szwedzkiej Kirunie. Szwedzi mają tam zapas półtora miliarda ton 65-procentowego magnetytu. Szczęśliwcy, na tej rudzie wywindowali się na szczyty zamożności. Niestety, los obdarzył nas uboższa rudą, lecz dobre i to, nie wybrzydzajmy. Ruda jest nam diablo potrzebna, jest na wagę jeśli nie złota, to na pewno dewiz. Musimy być pod tym względem minimalistami, było nie było za łęczycką rudę nie trzeba płacić okrętem ani taborem kolejowym. Każdy zaś wagon kolejowy to bezwstydny wprost zjadacz stali, nie mówiąc już o dziesięciotysięcznikach. Po wtóre, nie wszystkie efekty mieszczą się w kategoriach ekonomicznych. Nie można ich sprowadzać wyłącznie do złotówek. Efekty z budowy kopalni rozmieszczają się też na płaszczyźnie społecznej. Kształtują profil narodu.

Dano więc placet i w krótkim czasie podjęto budowę szybów pod Łęczycą.

Mało kto zdaje sobie dziś sprawę, co się kryje za tym lakonicznym stwierdzeniem.

Bo imć pan Boruta okazał się adwersarzem najwyższej klasy, imał się iście diabelskich sztuczek i forteli. Najbardziej upodobał sobie kurzawki. Grodził górnikom przejście lotnym piaskiem pędzonym wodą. Zsyłał jedną kurzawkę za drugą. Nie daj Boże co to za udręka, gdy wszystko sypie się naraz na dużej głębokości. Zażarta walka trwała okrągły rok, w końcu Boruta uląkł się warczącej techniki, podwinął ogon i czmychnął. Czy jednak na długo?

W ostatnim dniu października, młodzieżowa brygada Bogdana Cichockiego zameldowała: — Wyorążyliśmy 539 metrów chodnika...

I nie dodali niczego więcej. Poszli wypocząć, odespać. A to był przecież rekord. To był rekord w skali krajowej. Hm, powiada się, że młodzież ma tylko „kiełbie we łbie". Zależy jaka młodzież i gdzie. Takie rekordy nie padają z dnia na dzień. Są dziełem nieludzkiego czasem wysiłku. Łęczyckie kopalnie należą do pokazowych, do najlepiej wyposażonych w Europie. Automatyzację posunięto tu do granic możliwości. Kopalnia to jednak kopalnia. Oddaje się złudzeniu, kto sądzi, że w dobie elektronowych mózgów górnik nic nie robi, tylko guziczek naciska. Tak może myśleć, kto nigdy nie spadał kopalnianą windą w bezmierną otchłań, kto nie czołgał się godzinami po wilgotnych czeluściach, kto nie widział górników po rannej zmianie.

Łapią wówczas haustami świeże powietrze, odwracają twarz do wiatru, choćby wiatr był jesienny, zimny, mokry, obrzydliwy.

Kto widział, jak górnicy przodkowi idą z pracy do domu, choćby nie wiem jak był roztargniony, musiał spojrzeć i zadumać się. Bo zgoła sam klimat, tam, na dole, przy ścianie, jest całkiem odmienny od wszystkiego, co znamy. Inna jest tam temperatura, inna wilgotność i ruch powietrza, nade wszystko zupełnie inne ciśnienie. Aż dudni w uszach. Do tego warunki geologiczne łęczyckich kopalni są unikalne, niewyobrażalnie trudne. Pokład rudy mocno zanieczyszczonej krzemieniem jest wyjątkowo cienki. Trzeba wycinać żyłę w chodnikach metrowej wysokości, na brzuchu.

Pewien uczony w piśmie historyk powiedział:

— Polacy, owszem, potrafią ginąć za ojczyznę na polu chwały, ale nie potrafią dla niej pracować.

Czyżby? Wydaje mi się, że Bartek Zwycięzca powoli przeobraża się w Górnika Zwycięzcę. Wszak łęczyccy górnicy to wczorajsi chłopi, „wyrwani spod miedzy".

W Łęczycy bije już tętno 2 kopalni, wkrótce uderzy to 3 w pobliskiej Topoli Królewskiej.

Za parę lat wszystkie te kopalnie będą wydobywać rocznie setki tysięcy ton rudy żelaznej. A w ogóle to mamy chyba predylekcję do górnictwa, jesteśmy do tego uzdolnieni. Jeśli znajdziesz się człowiek za granicą, a chciałbyś znaleźć rodaka: spytaj o najbliższe osiedle górnicze. W takim osiedlu natkniesz się nie na jednego, lecz na setki Polonusów. Ugoszczą, przenocują. Wszędzie cię przyjmą z otwartymi ramionami, w Pas de Calais, w Alzacji, w Zagłębiu Ruhry. Na północnych krańcach Essen znajdziesz nawet całe polskie miasteczko, znajdziesz Bottrop, zwane przez Niemców — kleine Warschau. Dom przy domu, kamienica przy kamienicy i na każdych drzwiach napisy z polskimi nazwiskami. Czyżby więc właśnie Polakom miały być dane kopalnie w arendę. Czyżbyśmy byli stworzeni do roli herosów także w pracy? Co jest więc wielkie w polskim charakterze, a co małe?

W Bottropie nawet policjanci mówią po polsku to działa jak wstrząs.

Pora jednak wrócić do Łęczycy.

Gdy zmrok jest gęsty, a księżyc jeszcze nie wypłynął, wówczas na bagnach za miastem błądzą ogniki. Mokradła rozciągają się we wszystkich kierunkach, to one broniły ongi dostępu do Tumu, zamku, przedtem jeszcze do wczesnośredniowiecznego grodziska. Ale nawet gdy księżyc wypłynie, to i tak nie może przyćmić świateł, idących : okien 26 bloków uszeregowanych na skraju Łęczycy. Te bloki nie są w niczym podobne do brynowskich familoków koło Katowic. Podnosza na duchu.

Górnicy harują jak rzadko kto i chociaż kokosów z tego nie mają, mieszkają po ludzku.

Łęczyca uciekła wpierw w dół, teraz strzela wszerz i w górę — kilka dalszych bloków jest w budowie. Liczy nie 5 tysięcy mieszkańców, a 12 tysięcy. Miasteczko-muzeum z zabalsamowanym Tumem i zamczyskiem przeobraziło się w stolicę najbogatszego obecnie w kraju zagłębia rud żelaznych. Któż by się tego spodziewał, że w prastarej Łęczycy będzie żyło z rudy przeszło 2 tysiące górników, że zamieszkają w nim młodzi, prężni technokraci. Oni ciułają, liczą, planują, nauczono ich planowania. Ten już ma „Wartburga", kiedy ja zasiądę za kierownicą? Nikt tym młodym technokratom nie wmówi, że współczesna cywilizacja to tylko biblioteka w domu, a nie auto w garażu.

Ziemia łódzka odsłoniła już część swych skarbów.

Oddała bełchatowski węgiel brunatny, działoszyński kamień wapienny, łęczycką rudę. Czy jednak oddała wszystko? Któż to może wiedzieć, co naprawdę ukrył imć pan Boruta na polskiej nizinie. Zabrano mu jeden klucz do skarbca, ile ich jeszcze trzyma w kieszeni? Ten dziwny stwór plącze się przecież po dziś dzień po Tumie, Górze Małgorzaty, po Topoli. Legenda o nim jest wciąż żywa i obrasta nowymi szczegółami.

Na łęczyckiej targowicy chłopi bajdurzą, że diabeł Boruta ubrany w strój szlachecki, tylko śmiga po drogach na rowerze, albo motorze.

Jak mu fantazja dopisze, bo to kawalarz co się zowie, zajeżdża chłopom drogę czarnym mercedesem. Ponoć lubi płoszyć koniska. Te stają dęba, oślepione światłem wpadają z furmanka i chłopem prosto w bagna koło mostu na Bzurze. Niejeden chłop tak zakończył.

Jak to mówią, diabeł chłopa skusi: uraczy gorzałą, a potem robi z chłopem co chce. Chłop wprawdzie z bagna wylezie całkiem ogłupiały ze strachu, ale nazajutrz jak mu trochę wywietrzeje, trąbi na całą wieś o diable rogatym, kutym na cztery kopyta i czarnym mercedesie, co to pędzi droga, jakby sam Belzebub w nim siedział.

Czort nie Boruta, chytrus nad chytrusy, cwaniak, trochę Twardowski, więcej jeszcze Zagłoba.

Może by więc pomnik wystawić Borucie na łęczyckim rynku? Dopiero by była uciecha. Może by odlać Borutę z rudy, to jest nierdzewnej stali i ustawić na cokole? Niechby stał. Byłby czymś niezwykłym. Byłby osobliwością w skali światowej, czymś zupełnie wyjątkowym. Pierwszy diabeł na cokole! A cóż by to komu zaszkodziło, czy to nam brak poczucia humoru? Boruta już zresztą zapłacił za swój pomnik, ma prawo wymagać. Sypnął nam rudą ze swego trzosa, czy nie sypnął?

Rekord Cichockiego został już pobity.

Dowiadujemy się, że młodzieżowa brygada Antoniego Stawianego wydrążyła w listopadzie 653 metr. chodnika!

Jakiż wspaniały rezultat. Przecież jeszcze kilka lat temu przeciętnie drążono po 70—80 metrów chodnika w ciągu miesiąca

Dzięki rekordowym wynikom młodzieżowych brygad jest już pewne, że łęczyckie kopalnie dadzą do końca roku 9 tys. ton rudy ponad plan.

Ta ruda to Barburkowy prezent, także noworoczny dla Huty im. Lenina.

CZY DAHAN *jest szpiegiem?*

Kim jest Dahan, alias Mordekai, alias... alias....? Dla Egipcjan, jest on szpiegiem izraelskim. Dla Izraela — to niebieski ptak i dezerter.

Jednakże znana dziś wszystkim próba porwania Dahana każe mniemać, iż człowiek uwolniony z dyplomatycznego kufra, człowiek dla którego dyplomaci egipscy podjęli tak wielką grę — i przegrali — może być chyba tylko agentem izraelskiego wywiadu.

Historia Dahana rozpoczyna się w roku 1961. Pewien dezerter przekroczył w nocy granicę państwową Izraela w rejonie Gazy. Był do ostatka wyczerpany i sponiewierany. Egipcjanie przewieźli go do Kairu i tam osadzili w więzieniu. Drobiazgowe przesłuchania trwały bardzo długo. Następnie zaproponowano mu pracę w wywiadzie egipskim. Nieco później między Egiptem a Izraelem rozgorzała zacięta „wojna cieni".

W tymże roku 1961 powietrzny i lądowy wywiad Izraela doniósł, iż w odległości 30 kilometrów na południe od Kairu, w miejscowości Heluan, gdzie Egipcjanie od dziesiątków lat wyrabiali słynne w świecie narzuty i dywany wyrosła wielka fabryka, która produkuje myśliwskie samoloty i silniki odrzutowe. Co więcej, że produkcją kierują: znany niemiecki konstruktor lotniczy Willy Messerschmidt oraz były obersturmführer hitlerowskich oddziałów spadochronowych i specjalista lotniczy, Ferdynand Brandner. Była to rewelacja. Ale to jeszcze nie wszystko. Oto w pustynnych rejonach Suezu, dzień i noc wre praca przy budowie fabryki rakiet. Pracami zaś kieruje b. bliski współpracownik von Brauna, Wolfgang Pilz. W tym samym czasie przenikają z Europy informacje, które budzą niepokój Izraela. Pod szyldem różnych towarzystw turystycznych płyną wartkim strumieniem z NRF do Kairu rzadkie metale, części reaktorów, elementy rakiet itp.

Następuje reakcja Izraela. Najpierw anonimowe telefony, żądające od Niemców przerwania współpracy z Egiptem. Wkrótce potem seria ostrzeżeń. I tak oto, w NRF, w niewyjaśnionych okolicznościach znika bez śladu szereg uczonych. Pod Stuttgartem zostaje ostrzelany serią z automatu samochód doktora Kleinvachtera. W Westfalii eksploduje w powietrzu samolot finansisty egipskiego Hassana Khamila. W Kairze, sekretarce prof. Pilza wybucha w ręku list. Również w Egipcie, w biurze projektów fabryki broni „333" wybuchła bomba.

Czyżby zbieżność w czasie tych wydarzeń i „dezercji" Dahana była dziełem przypadku? W Izraelu, ludzie, którzy znają Dahana uważają go bardziej za człowieka ściganego przez prawo, niż bohatera szpiegowskiej powieści.

Dahan przybywa do Neapolu w początkach 1964 r., zaopatrzony w paszport na nazwisko Józefa Dahana, oby watela marokańskiego, urodzonego w m. Udida. A Neapol z różnych względów, bardzo interesuje rząd egipski. Dahan często podróżuje za granicą. Ostatnio był w NRF.

Ale od kilku tygodni Egipcjanie są niezadowoleni — Dahan wydaje za dużo pieniędzy. Ten z kolei twierdzi, że są zbyt skąpi. Spór ma się więc rozstrzygnąć tego wieczoru w Rzymie. Rzecz dzieje się w listopadzie br.

W „Cafe de Paris", na Via Veneto, spotyka się Dahan z dwoma Egipcjanami: Salimem Osmanem el Sayed i Mohammedem Moneim el Neklaouy. Sayed jest I sekretarzem ambasady egipskiej w Rzymie i jednocześnie, w nieobecności ambasadora, pełni funkcję chargé d'affaires. Rozmowa jakoś się nie klei, więc w końcu proponują Dahanowi „przejażdżkę samochodem, żeby móc porozmawiać spokojniej".

Samochód rusza jednak z największą szybkością i zatrzymuje się dopiero przed ambasadą egipską. Wysiadają i, prowadząc przed sobą Dahana, wchodzą do ambasady. Tu zamykają go w jednym z pomieszczeń i dopiero nazajutrz przynoszą mu coś do jedzenia. A ściślej mówiąc do picia — szklankę herbaty. Chce mu się przede wszystkim pić, więc kilkoma haustami opróżnia szklankę. Po chwili czuje, że traci siły, siada, siada, nie może ruszyć ani ręką ani nogą. Nie traci jednak świadomości. Później robią mu 3 zastrzyki i w pozycji siedzącej umieszczają w specjalnie skonstruowanym kufrze. Na głowę zakładają hełm, ręce i nogi zamykają w stalowe bransolety, przytwierdzone do ścian kufra, do ust wkładają knebel, po czym zamykają kufer. Jeszcze nalepki i stempel ambasady egipskiej i oto „poczta" dyplomatyczna gotowa do drogi... Aha, jeszcze jedno — żeby „przesyłka" nie zmarła z uduszenia w kufrze są dziurki.

Dahan cały czas nie traci przytomności. Czuje, jak kufer ładują na furgonetkę i jak auto rusza. W drodze udaje mu się uwolnić ręce i wyjąć knebel. Ale co dalej?

Tymczasem samochód zmierza szybko na lotnisko, które za kilka minut stanie się widownią niesłychanego skandalu. Ale śledźmy przebieg wydarzeń... Furgonetka wjeżdża na lotnisko, robi ostry wiraż i staje u burty samolotu „Comet" United Arab Airlines. Huczą motory i Dahan zdaje sobie sprawę, że krzykiem nic tu nie wskóra.

Egipcjanie sami stawiają kufer na podnośniku, który wyniesie go lekko na wysokość pokładu. A tam stoi już bagażowy, Giovanni Colleli, który przesunie kufer z podnośnika do samolotu. Tylko tyle. Wtedy „Comet" może startować. Jest to kwestia sekund... Ale Giovanni Colleli patrzy na kufer i nie rusza się z miejsca. Stoi jak słup soli!

— Nagle, proszę panów, widzę — opowiada Colleli — że cały kufer zaczyna się ruszać, to w tę, to w tamtą stronę. Jakby tam wewnątrz był zamknięty diabeł!... I w środku coś tam stuka!... Nadstawiam ucha i słyszę jak ktoś woła po włosku: „Na pomoc! Mordercy!..."

Dalej rozgrywa się wszystko w błyskawicznym tempie. Colleli zeskakuje z pokładu samolotu, chowa się za koło i daje rozpaczliwe znaki innym bagażowym. Tymczasem Egipcjanie, widząc co się święci, próbują przenieść kufer z podnośnika z powrotem na furgonetkę. Nie mogą dać rady, więc rzucają go do diabła, wskakują do samochodu i na pełnym gazie wypadają na miasto.

Kiedy Egipcjanie wieją z lotniska, Giovanni nabiera odwagi, wychodzi zza koła samolotu i pędzi do komendanta policji lotniczej dktora Picelli. Komendant zarządza pościg. Wszystko kończy się pomyślnie, to znaczy po ok. 30 minutach szalonego pościgu, sekretarz ambasady Mohammed Moneim el Neklaouy zostaje ujęty.

W kwadrans później, w komisariacie policji dzielnicy Ostia, zostaje otworzony ów kufer z „poczta" dyplomatyczną. Wychodzi z niego młody człowiek o jasno blond czuprynie. Najpierw ma minę, jakby chciał uciekać, ale poznaje mundury włoskie, rzuca się na szyję jednemu z policjantów. Następnie wypija szklankę mleka, po czym uśmiecha się i mówi, że naprawdę nie ma nic... ważnego do powiedzenia. Koniec sensacji. Zaczyna się tajemnica. (s)

JAROSLAVA BLAŽKOVA

OPOWIADANIE PEŁNE ŚNIEGU

Tym dniem cieszyłam się z góry jak wariatka. Miałam dwadzieścia dwa lata i dwadzieścia dwa lata marzyłam o chwili, w której wyprowadzę się od rodziców.

Był zimny poranek. Rozdygotana od wzruszenia, spakowałam swoje ubogie lary i penaty i — jak to się mówi w bajkach — wyprawiłam się w świat. Na dworze padał śnieg. Patrzyłam jak wiatr porywa go, jak z nim baraszkuje. Przyjemnie było patrzeć na świat, widzieć jego stateczną bryłę i jednocześnie w sobie mieć wszystko rozkolysane — serce w ustach, a rozum w pięcie.

Nie mogłam znaleźć bagażówki, a kiedy wreszcie znalazłam — zawieźli mi rzeczy i wyładowali o jakiś kilometr od mojego nowego domu. Na drodze była ślizgawica a taksówkarze — to istni rozbójnicy. Ze śniegu i z opałów wyratowali mnie początkujący chuligani. Powieźli moje ruchomości na sankach przez góry i doły, koło jakiejś studni, potem znowu pod górkę jakąś wąską, prywatną dróżką między pochyłymi płotami, które pod śniegiem wyglądały jak orszak panny młodej.

Droga kończyła się furtką z ostrzegawczą tabliczką:

UWAGA!!!
ŻŁY PIES!!!

Grozę wykrzykników osłabiało miękkie Ż. Furtka była stara i ja miałam od niej klucz. Tylko ja. Trzymałam go, rozkoszując się smakiem tej chwili. Pragnęłam, żeby zabrzmiała teraz uroczysta muzyka. Zamek zachrobotał, hałas obudził psa. Szczekał, wściekle warczał, łańcuch groźnie podzwaniał. Środkiem ogrodu z podniesionym do góry ogonem kroczył na moje spotkanie — kot.

— Dzień dobry — powitałam go z szacunkiem należnym stałemu domownikowi. Popatrzył na mnie żółtymi ślepiami i nie odpowiedział.

Buda była drewniana, kuliła się między pniami starych śliw. W głębi stały czarne, samotne dęby.

Wzięłam z kuchni garnek zupy, przygotowanej dla psa i wyniosłam na dwór. Zwierzę zaczęło skakać, łańcuch napinał się i szczękał. Parę dni temu poznaliśmy się, ale teraz byliśmy po raz pierwszy sami. Był to zły pies, centkowany jak hiena, z wąskiego pyska zwisały mu nitki śliny i wyzierały błyszczące kły. Ręce mi się trzęsły.

— Dobry pieseczek, dobre stworzonko — przymilałam się, ale on wiedział, że to były fałszywe słowa, podyktowane strachem. Przybliżyłam się tak, że gdyby chciał, mógłby mnie chapnąć. Podetknęłam mu garnek, powąchał i wydał z siebie „phi", takie pogardliwe „phi", jakie wydawał z siebie mój ojciec, gdy na kolację były kładzione kluski.

— Jedz! Co sobie myślisz, w tym są witaminy! — skarciłam go i on łaskawie zanurzył mordę w garnku. Kudły miał mokre i szorstkie, a na końcu łańcucha — obrożę. Szukałam metalowej sprzączki, nie mogłam jej wymacać. Ciało psa było napięte, pełne ostrożności. Wreszcie kółko puściło, pies był wolny. W tej chwili — jakby doskonale wiedział co robię — skoczył, okręcił się trzy razy, machnął koziołka i frr — do płotu i frr — dokoła chałupy. I znów. I z powrotem. W tym momencie zakochałam się w nim. I ja byłam stworem, który urwał się z łańcucha i z wywieszonym językiem latał dokoła chałupy.

— Ty zwierzaku — wołałam — ty głupi zwierzaku! Chodź tu jeść!

Przybiegł, skoczył na mnie i pozwolił się poklepać. Nie bałam się go już i on o tym wiedział.

Kocur siedział na stołku przy piecu kuchennym. Był wypasiony. Pospolity szarak, ale dusza w nim, jak we wszystkich wietrznikach, była duszą męskiej niezawisłośc.. Nalałam mu mleka. Nie ruszył się, ale spojrzał na mnie oczami gospodarza, który zgodził do siebie gaździnę. Uklękłam i zaczęłam łamać dębowe gałązki. Ogień pożerał je chciwie, głośno trzaskając.

Było mi dobrze. Od nagłego wzruszenia rozgorzały mi czerwono policzki. Tu nie było nikogo, kto by żądał ode mnie, abym się zachowywała tak lub inaczej, kto by mi robił przycinki z powodu mojego uczesania, papierosów, czytania i marzeń. Byłam sama. Jak słonko na niebie. Roześmiałam się i kocur obejrzał się na mnie z przyganą. Byłam zdecydowana nie pozwolić teraz na to, aby ktokolwiek mnie strofował, nawet gdyby miał dwa razy tyle pazurów. Skoczyłam ku niemu, schwyciłam go za uszy i przekopyrtnęłam go, aby stracił zupełnie głowę i powagę.

— Jesteś zwykłym oblazłym szczurem pełnym, jesteś wymokłą żabą! Wiecheć, ogon tchórza! — obrażałam go i on to przyjmował jak obrazę. Potem porwałam miotłę i tańczyłam najbardziej zwariowanego madisona, kombinowanego z akrobatycznymi skokami i z wyrzucaniem nóg. Obtańczyłam całą budę, całe moje, moje królestwo, kocura zagnałam pod kanapę, gdzie musiał w samotności uświadomić sobie, że królewną jestem tu ja, a on — w najlepszym razie — łaskawie tolerowanym towarzyszem, nieobowiązujących konwersacji. I ukroiłam sobie plaster pieczeni i była to uczta nad ucztami.

To co potem następowało, to był szereg chaotycznych zadyszanych, od dawna upragnionych czynności. Drżałam i serce mi wyprawiało dziwne rzeczy, jakbym wypiła z litr kawy. Cieszyłam się. Najpierw zdjęłam ze ścian wszystkie obrazki Słobody, oszklone fotografie dziadków, chłopców od bierzmowania i cechu ogrodników, i — wyniosłam to do komórki.

Wydostałam obrus, przykryłam nim kostropaty stół, postawiłam misę z jonatankami, obok ozdobny lichtarz. Czerwona świeca wyglądała jak ptak, kiedy unosi szyję, pijąc lub śpiewając.

W kącie ćmiło się blade pergaminowe światło lampy, za oknem padał śnieg. Osiadał na konarach ogromnego orzecha, na opatulonym wierzchołku róży, na krzakach porzeczek.

Zdawało mi się, że ten biały śnieg pada także na mnie i zakrywa całą brzydotę goryczy i gniewu. Byłam czysta, pokryta milionami płatków, w których rozbłyskiwało światło.

Zaczęłam śpiewać, ale nie znałam pieśni, która by potrafiła wyrazić to co czułam, więc wydawałam tylko dźwięki i zabrałam się do urządzania pokoju. Łóżka ustawiłam w kącie obok siebie, przykryłam oba piękną koronkową kapą i przeczarowałam je na wspaniałe francuskie łoże, marzenie bywalców kinowych. Wywleklam z komórki starą półkę, wyłożyłam ją kolorowym papierem i ustawiłam na niej książki. Nora palacza, emeryta, hodowcy prima erfurtskich ogórków, szybko się zmieniła. Na okno — kreton, na podłogę — czerwony dywan, na ścianę — plakat z trąbką i dźwięcznym napisem

DI
XI
LAND

Nagą żarówkę, która jak obraz nędzy wisiała na sznurze na środku izby, przyodziałam w abażur. Ostre światło złagodniało, różowy, intymny poblask padł na kobierzec.

Stanisław Wyspiański (przeczorek)

Pies na dworze zaczął krótko i radośnie poszczekiwać. Spojrzałam w okno. W śniegu pośród jabłonek brodził w czarnym zimowym płaszczu — Vili.

Krzyknęłam i chrapliwie zaśmiałam się. Opadł mnie lęk, nadmiar radości i... niezadowolenie. Tego w planie nie miałam.

Szedł długimi, spiesznymi krokami, pies podskakiwał koło niego i merdał ogonem.

Ściągnęłam z głowy chusteczkę, poprawiłam włosy, ale już nie można było nic zrobić z pokosmaconym, wyciągniętym i przepoconym swetrem, z podartymi portkami, które donaszałam, sprzątając. Ani z bałaganem w kuchni, ani z walizami i papierzyskami. I to psisko nędzne, piękny zły pies! Odezwało się pukanie, kłopotliwa postać zbliżała się.

— Ahoj! — powiedział.

— A skądżeś się tu wziął? — niezdarnie udawałam niespodzianą radość. W środku napięta byłam jak sprężyna. Wszystko wyobrażałam sobie inaczej. Chałupę w doskonałym porządku, siebie — w miękkiem pulowerze, z muzyką i zakąskami, on przecież był taki kochany. Mieliśmy siedzieć przy piecu, to znaczy przy kominku, ogień miał trzaskać, mieliśmy pić herbatę jaśminową, koniecznie jaśminową, dla jej zapachu.

— W jaki sposób mnie znalazłeś, przecież ci nawet nic nie mówiłam.

— Spytałem Martę.

— Myślałam, że cię jutro zaproszę, jak już wszystko będzie uporządkowane.

Staliśmy naprzeciw siebie pełni niepewności i pragnienia i baliśmy się to okazać, ponieważ oboje jednakowo lękaliśmy się śmieszności i obnażania siebie samych, które zdaje jedno na łaskę drugiego. Był jeszcze zdyszany, na pewno spodziewał się, że z entuzjazmem rzucę mu się na szyję.

— Wyobrażałam sobie wszystko zupełnie inaczej.

Usłyszałam swój głos. Brzmiał kwaśno. Pragnienie, z którym pędził po zaśnieżonym chodniku, powoli zaczęło mu z twarzy znikać.

Dręczyło mnie wyobrażenie własnej twarzy, usmarowanej, z porami zapchanymi kurzem, którą on teraz widzi, i która w żaden sposób nie może go zachwycać!

— Jak to się stało, że cię ten pies tutaj puścił? Będę mu dawała mniej żreć! Po co mi taki strażnik, który pozwala byle komu drapać się za uszami?

— To ja jestem byle kto? Mnie zwierzęta lubią. Wiesz, że umiem się obchodzić ze zwierzętami... zwierzaczku!

Miał miękkie, delikatne usta. A w sobie gorący prąd, który zawsze budził we mnie zupełnie nieoczekiwane ciemne, nieznane wzruszenie. Poddałam się prądowi, ale tylko na chwilę. Odepchnęłam go od siebie, i dostrzegłam jego błędne, trochę nieprzytomne spojrzenie, które jednak szybko przykrył z powrotem opanowany, rozumny wyraz oczu. Ten wyraz, ta wspaniała zasłona, za którą człowiek czuje się tak bardzo bezpieczny!

— Masz zimne ręce — powiedziałam — zrobię ci herbaty.

Gdyby był powiedział — zrób — wygrzebałabym z kufra jaśmin i filiżanki z jenajskiego szkła i byłabym ocaliła przynajmniej szczątki swoich głupich wyobrażeń! Ale on wyczuł moje zdenerwowanie, źle go zrozumiał i zaczął oponować.

— Herbatę? Nie warto. I tak muszę iść za chwilę.

— Dokąd?

— A, umówiliśmy się z chłopakami.

— O! To ci się nawet nie opłaciło wlec tu przez ten śnieg.

— Chciałem cię tylko zobaczyć.

Słowa brzmiały nieszczerze i każde z nich kłuło nas, jak niewidoczne, cienkie kolce, które, wbite pod skórę, tym chętniej ropieją.

— Jak ci się tu podoba?

— Fajno. Zupełnie dobrze.

Czekałam, żeby powiedział więcej. Szłam za nim i chciałam, żeby spojrzał na tapetę, niedźwiedzia na koronkowej kapie, aby ocenił lichtarz, półkę, plakat, abażury. Raz jeszcze powiedział „fajno", potem się odwrócił, i objął mi ręką plecy.

— Chodź, usiądź przy mnie — wskazał na stary fotel, który także zamierzałam zmodernizować przy pomocy drugiej koronkowej kapy. Na tym odnowionym fotelu siedziałam — w swoich wyobrażeniach — patefon grał, a on usadowił się przy mnie, na dywanie i rozprawiał coś o amplitudach, albo o technice, albo o jazzie, albo na jakiś inny swój ulubiony temat.

— Chodź tu usiąść — poprosił nieco schrypniętym głosem.

— Nie zmieścilibyśmy się tam oboje. Wiesz, że jestem gruba.

Przesiadł na moją piękną kapę i od razu gwałtownie, jak ktoś kto chce skoczyć do rzeki, aby ratować tonącego, zrzucił płaszcz i marynarkę.

— Chodź tutaj.

— Nie, nie — pisnęłam i niechętnie, niezdarnie, bez odrobiny sex appealu poczłapałam ku niemu. Wiedziałam, że nie ma wyjścia. Przypędził jak wielka woda, w śniegu, abyśmy po miesiącach przykrej zimy, spotkań w kawiarniach, kinach i na nieprzychylnych ulicach, mogli być razem. I nie zrozumiałby, gdybym mu zaczęła mówić o niebieskim swetrze, o wodzie kolońskiej i kwartetach Haydna.

— Dam ci coś zjeść, dobrze? — obiecywałam mu lękliwie.

— Chodź tutaj.

Chwycił mnie dość ostro za rękę.

— Jak cię ten leniwy pies mógł wpuścić! — plotłam jeszcze, ale była to już kapitulacja.

I miłość musi mieć swoją szczęśliwą gwiazdę. A nad nami w ten wieczór świecił tylko papierowy abażur. W najczulszym kardiogramie pożądania zadrgało moje rozczarowanie, jego gwałtowność, wahanie się i jeszcze trwoga zwierząt, które wyłażą wobec siebie ze skorupy i boją się zranienia.

— Nie gniewaj się — powiedział wreszcie. Obrócił się do mnie twarzą, strasznie zdeprymowaną.

— Wyobrażałam sobie wszystko zupełnie inaczej — wykrztusiłam i myślałam znowu o dziurawych spodniach i torcie z „Dziecięcej" cukierni.

— Ja wiem — dokoła jego ust pojawił się strapiony uśmiech.

Ale ja, jak ślepiec, pędziłam za straconym marzeniem. Chciałam być piękna, mieliśmy pić vermouth, a na ogniu miała wrzeć herbata. Nie powiedziałam nic z tego na głos, bałam się okropnie — jak zawsze — sentymentalizmu.

I tak milczeliśmy obok siebie, zamknięci w swoich ciasnych sercach, niezdolni wniknąć w siebie. Zaczęło nam być zimno.

Potem coś skoczyło na kołdrę. Zlękliśmy się, ale to był tylko kocur. Szedł spokojnie poprzez nasze ciała i zostawiał na naszej skórze lekkie ślady pazurów. Przyjrzał nam się dokładnie, jakby chciał sobie nas zapamiętać i zameldować na policji obyczajowej.

Napięcie we mnie zelżało, już mogłam się znowu śmiać, ale on był zupełnie bez nastroju. Jak wszyscy mężczyźni, chciał imponować za każdą cenę i to śmieszne, głupie pragnienie podziwu rozdzierało go aż do krwi. Był chłodny i nieobecny, jakbyśmy nie leżeli obok siebie w tej najsłodszej bliskości, lecz jakby to była dość dziwna, obowiązkowa, urzędowa czynność.

— Pójdę — rzekł sucho i już nie spojrzał na mnie.

— Nie bądź głupi — powiedziałam delikatnie. Już nie wstydziłam się, miałam ochotę pogłaskać go i udobruchać, ale mój przyjaciel, schował się — jak miękkie, morskie stworzenie z powrotem w swojej skorupie i oddał się gorzkiemu samobiczowaniu. Mnie pokazywał nieszczerą twarz młodzika, którego nic nie może zranić. Ile udręki kosztują nas te pozy!

— Nie będą go prosiła — podszepnął mi najgłupszy z wewnętrznych głosów. Powiedziałam, udając wesołość:

— No, to nie będę cię zatrzymywała. I tak mam tu jeszcze pełno roboty. Rano muszę wstać do pracy — i zlewnęłam wymownie.

Odprowadziłam go przed chałupę. Pod strzechą zabłysnęła żarówka, oświetlała pół ogrodu. Staliśmy tam obok siebie na srebrnej wyspie, śnieg padał gęsty, wielkimi płatkami. Przybiegł pies, skomlał i skakał na nas, a za kręgiem srebrnej wyspy jęczał z bólu las i ciemność. Było to straszliwie piękne. Staliśmy chwilę przerażeni, pióra śniegu pokryły nam włosy, plecy i zimnym puchem dotykały naszych ust. Mieliśmy ostatnią sposobność.

— Vilu... — powiedziałam, a on odparł.

— No to — ahoj. Wyśpij się dobrze.

— Ahoj. I ty także.

Uciekał w dół chodnikiem, całkiem pokrytym śniegiem. Pies biegł za nim, żegnał się przyjaźnie. Trzasnęła furtka. Jeszcze chwilę stałam, na srebrnej wyspie, w śnieżycy. Potem starannie pozamykałam i — zgasiłam żarówkę pod strzechą. Wiatr w ciemności skomlał jeszcze głośniej.

Już mi się jakoś nie chciało sprzątać. Napiłam się mleka i z posmakiem trucizny w ustach położyłam się. Długo się przewracałam, zaczęłam się bać. Widziałam dęby za chałupą, słyszałam głos zduszony pod śniegiem. W powale coś skrzypiało, domek był pełen dźwięków, jakiegoś ruchu, kroków. Skuliłam się, wstrzymałam oddech. Mogli przyjść bandyci i nikt by mi nie pomógł. Na mgnienie oka zackniło mi się za izbą pełną oddechu moich sióstr. Tylko na okamgnienie. Przypomniałam sobie poranny harmider, codzienne mamine — wstawać! wyłazić z łóżek! — swoje ucieczki w marzeniach i wyobrażenie tego dnia, wytarte od zbyt częstego bawienia się nim. Właściwie niewiele mi wyszło z tego, co sobie układałam. Wstrętnego taksówkarza zdecydowanie w moich marzeniach nie było. Ani gołoledzi na drodze leśnej, ani mojego upadku na niej, grzbiet mnie jeszcze od niego bolał, ani słów Vilego „nie gniewaj się", — Vili mnie też jeszcze bolał. Znowu widziałam w śniegu pyszny ogon kocura, jak płynął przede mną, widziałam krzywy ząb dziecka z sankami. Gdy się to poskłada wszystko razem — nie był to dzień najgorszy, to był całkiem przyzwoity dzień.

Po izbie znowu przesuwały się żółte oczy, kosmaty ciężar wskoczył mi na piersi i zamiauczał.

— Co to, kamracie? Ty chcesz spać z dziewczyną? Podoba ci się to? Maszeruj stąd, tam, myszy łapać! Wyrzucę cię na mróz, zobaczysz! — łajałam go i głaskałam jego kosmaty koci łeb, przyciskałam go do siebie, a potoki bezsensownego płaczu gotowały mi się w gardle i spływały przez oczy na poduszkę.

— Kochanie! Kochanie! — szeptałam do niego. A potem:

— Ty kocisko, będę miała pełne łóżko pcheł!

I jeszcze:

— Będziemy sobie tutaj pięknie gazdować. Ty mnie będziesz pilnował, a ja będę ci mleko nosiła i będę chodziła do pracy, a potem będę się uczyła, czytała sobie i gotowała, i rysowała, i ciebie także narysuję, dobrze nam tu będzie.

Kocur pozwalał się głaskać, był żywy i ciepły, i miał ukryte w sobie gdzieś, na samym dnie, małe warczące dynamo.

— Będziemy wspaniałymi kamratami! Nigdy nie będziemy się sprzeczali, ani ja nie będę na ciebie krzyczała, ani ty nie będziesz mnie niepotrzebnie strofował, pójdziemy razem do lasu, a jak będziesz miał urodziny, kupię ci białą mysz.

Pozwolił się trzymać i gwarzyć ze sobą, w tej chwili zupełnie nie pamiętałam, że jego dusza jest duszą męskiej niezawisłości. Dookoła chaty skrzypiał mróz, skarżyły się ciemne dęby, ale już się nie bałam. Kocur był przy mnie, a za drewnianą ścianą biegał pies. Od czasu do czasu zaszczekał, warczenie przebijało się przez zawieję i dawało znać wszystkim złym ludziom, że jest nas tu więcej, że się nie damy. Spoglądałam w błękitnawą ciemność, w której fruwały białe ptaki.

— Niech ci się coś ładnego przyśni — życzyłam sobie sama, ponieważ to, co się śni na nowym miejscu pierwszy raz, zawsze się spełnia.

Na dworze śnieg padał coraz gęściej.

Tłum. ze słowackiego: L. S.

ALICJA LISIECKA

Ileż to czasu minęło od lat, kiedy akcje wyjazdowe ZLP, różne „żniwa", „wykopki", prace w polu traktowane były jako jeden z najważniejszych obowiązków społecznych pisarza i jako warunek sine qua non jego twórczości, główny sprawdzian jego „zaangażowania". Rolnikom te doraźnie organizowane zajęcia nie zawsze pomagały, a twórczość większości poetów i prozaików lat 1949—54 nie była dzięki nim bardziej dojrzała ideowo i artystycznie. Choć trzeba przyznać, gwoli sprawiedliwości, że i z takich powierzchownych rekonesansów powstało parę nie najgorszych, jak na owe czasy, książek: choćby „Lewanty" Brauna — wynik dłuższego co prawda pobytu w stoczni, „Węgiel" Ścibora, „Przy budowie" Konwickiego, niektóre późniejsze fragmenty prozy Borowskiego.

Jeśli jednak dziś mówimy o konieczności wyjazdów „w teren", przewietrzenia się poza Warszawą, otwarcia okien ciasnego gabinetu, robimy to nie dlatego, żeby już wkrótce, w miesiąc czy nawet rok później doczekać się bezpośrednich owoców wyjazdu:

Mówimy o wyjazdach poza Warszawę, poza duże skupiska miejskie, po to, żeby bezpośrednio, osobiście sprawdzić jak oddziałuje słowo drukowane „w terenie", wśród przeciętnych czytelników. Czytelników spoza środowiska literackiego, czytelników którzy nasze książki wypożyczają często z miejskich lub gromadzkich bibliotek. Czytelników, którzy od deski do deski, bez intelektualnego zblazowania, bez znajomości skomplikowanych podtekstów, czytają każdy kolejny numer czasopisma literackiego, każdy artykuł, każdą książkę. Znają nas wszystkich, pisarzy i krytyków bardzo dobrze. Oni właśnie, nauczyciele z powiatu, aktywiści terenowi, bibliotekarze, uczniowie starszych klas, pracownicy KO i inni śledzą krytycznie nasze artykuły, dyskutują zawzięcie i bardzo serio na temat przeczytanej książki. Nie spadamy do nich z księżyca. Poprzedza nas opinia urobiona przez słowo drukowane, przez magiczne pudełka z baśni Andersena: radio i telewizję, przez film i teatr, choćby objazdowy.

Na spotkaniu autorskim w Hrubieszowie tuż pod granicą polsko-radziecką, w niedużym kilkunastotysięcznym Hrubieszowie, byłam po raz pierwszy w dniach lubelskiego Zjazdu Pisarzy. Przyjechaliśmy do tego leśmianowskiego Hrubieszowa, w którym żył jeden z największych polskich poetów, autor „Łąki" — całą ekipą; m. in. Tadeusz Hołuj, Włodzimierz Maciąg i ja. Rozsypaliśmy się potem na wieczory i spotkania do miasteczek i wsi powiatu. Do szkół, których jest w powiecie wiele: 3 ogólnokształcące, parę rolniczych, jedna krawiecka, jedna mechaniczna, jedna handlowa i parę innych, których już nie wymienię.

Leśmianowskie miasto Hrubieszów jest także miastem Prusa, który tu się urodził — i Staszica, który założył tu słynną fundację. Ślady Prusa są: wkrótce odsłoni się w Hrubieszowie pomnik autora „Lalki". Są też ślady Sta-

szica: szkoła ogólnokształcąca jego imienia.

Gorzej z Leśmianem. Pewien młody człowiek, zapytany o poetę, zaszeptał niespokojnie: czy to ten, co był tu u nas miesiąc temu?

Tyle na temat tradycji. Lepiej stanowczo jest z bliską nam współczesnością. Zebrani na naszych wieczorach czytelnicy, młodzież, miejscowa inteligencja, działacze, wojsko, tu i ówdzie robotnicy czy chłopi z okolicznych PGR-ów — to czuli i uważni słuchacze. Co czytają? Bardzo wiele: Fiedlera i Dąbrowską, Meissnera i Mariana Brandysa, Andrzejewskiego i Nałkowską, „Sławę i chwałę" i „Sennik współczesny". Przyswoili sobie najlepiej książki z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Nowości docierają tu z trudem. Prawie nikt nie zna Mrożka (nie ma teatru), brak egzemplarzy „Agnieszki, córki Kolumba". Powieści tej młodzież słucha wyłącznie przez radio. W ogóle wszyscy słuchają tu radia. Należy do głównych rozrywek.

O co pytają młodzi ludzie, których większość na dużej wypełnionej do ostatniego miejsca sali? Pytają o poszczególne książki i poszczególnych pisarzy, pytają, dlaczego tak mało wydaje się książek Meissnera, ile zarabiają miesięcznie literaci, dlaczego jest tak dużo powieści o wojnie, co sądzą poszczególni publicyści ze znanych im czasopism („Polityka", „Trybuna Ludu") na różne interesujące ich tematy (jak byśmy właśnie my — pisarze mogli to wiedzieć z pewnością i do końca). Pytają o reportaż na temat Hrubieszowa publikowany w „Polityce" i żywo o nim rozprawiają. Pytają o dyskusję na Zjeździe Literatów i przemówienie tow. Gomułki.

Działo się to bowiem w dniach Zjazdu. Tym zjazdem żyła cała Lubelszczyzna. Teren został „nasycony" jak nigdy dotychczas. Prawie stu pisarzy pojechało w pogodną zjazdową niedzielę spotkać się z czytelnikami, którzy często widzieli ich po raz pierwszy. Zwłaszcza tereny nadgraniczne, ów Hrubieszów i okolice, mimo swoich ambicji kulturalnych, mimo wysokiego poziomu młodzieży uczącej się w tutejszych szkołach, mimo dużej „ciekawości świata" miejscowych działaczy i pedagogów, ciekawości nie ograniczającej się do tradycyjnego „a co o tym mówią u was, w Warszawie", mimo aktywności tutejszej rady narodowej — Hrubieszow rzadko bywa nawiedzany przez stołecznych twórców. Jeśli wierzyć informacji, niektóre miejscowości powiatu, jak np. Strzyżów, widziały ich w ogóle pierwszy raz w ostatnim dwudziestoleciu. To prawda, że od Lublina trzeba jeszcze jechać półtorej godziny samochodem. Ale... jest w Lublinie sprawny Wojewódzki Dom Kultury, są dobre chęci ze strony powiatowych władz (tow. Nieszporek, przewodniczący Hrubieszowskiej Rady Narodowej, czy młody sekretarz propagandy miejscowego KP). I teren ciekawy: inne niż u nas problemy wychowawcze, choćby sprawa religii w szkole, przełamująca się specyficznie w świadomości hrubieszowskiego społeczeństwa wskutek zderzenia dwóch wyznań: prawosławia i katolicyzmu.

Myślę, ile to ciekawych rzeczy dowiedziałam się na temat przemian świadomościowych młodego pokolenia tylko w ciągu krótkich paru godzin w Hrubieszowie. Myślę też, czemu ten nowy tryb akcji wyjazdowych ZLP, kontakty poprzez „Dom Książki" — nie objęły jeszcze tak wielu zakątków kraju i tak wielu członków ZLP. Są na to fundusze, są chętni ludzie. Czy więc, zamiast seryjnych, traktowanych często, co tu gadać, dość komercjalnie — spotkań pojedynczych ludzi w centralnych miastach, nie ograniczając się do dorocznej wycieczki po Polsce — nie skierować jakiejś fali odczytów, jakichś malutkich ekip pisarskich do wciąż jeszcze licznych miejscowości „ubi leones". „Ubi leones" w każdym razie dla komisji ZLP do kontaktów z „Domem Książki", dla wielu spośród nas, chętnie przecież sprawdzających swoje doświadczenia poza klubem na Krakowskim Przedmieściu, poza warszawsko-krakowskimi kawiarniami. Żywiej powinna chyba rozwijać się współpraca w tym zakresie między terenowymi oddziałami ZLP i warszawską centralą. Zdarza się bowiem, jak np. na Śląsku, o czym mówiono mi w czasie niedawnego tam pobytu, że teren jest już nasycony kontaktami z miejscowym oddziałem ZLP i jego członkami. Chce widzieć trochę innych ludzi. Także z Warszawy czy z Krakowa.

Może by więc usprawnić wymianę przynajmniej w proporcjach, np. raz wrocławski Lutogniewski za warszawskiego Leca. I odwrotnie — jeden Konwicki za jednego Szewczyka. W fizyce, jeśli mnie pamięć nie myli, nazywa się to dyfuzją. W publicystyce mówi się o tym modnie: „integracja kulturalna regionów" albo „pisarze w terenie". Zostańmy przy tym ostatnim.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Na rynku bałuckim stoi mnóstwo straganów. W jednym z nich zdobyłem przyjaciela.

A było to tak:

Wybrałem się na rynek, aby kupić trochę deseczek, takich do krajania mięsa, czy chleba (na tych deseczkach dobrze maluje się małe Madonny). Więc stanąłem przed zieloną budką i zacząłem się przyglądać różnym przedmiotom z drewna, którymi obwieszony jest straganik dokładnie, że przypomina monstrualną choinkę. Wiszą tam plecione trzepaczki, koszyki, stolnice duże i małe, wałki do ciasta, pralki, łyżki, miotły, sita, torby, czerwone koniki na biegunach, wózki i mnóstwo innych jeszcze rzeczy wykonanych z drewna. Wszystko to wisi wokół daszku i tworzy prawie nieprzeniknioną zasłonę: wewnątrz siedzi sprzedawca i wszystko dobrze widzi sam nie będąc dostrzeżonym.

Gdy więc tak stoję i oglądam cały ten kram, zza wiszących kopyśći wychodzi sprzedawca: wygląd przyczajony i pochmurny, przepasany rzemieniem — na nogach filcowe buty. Staje w rozkroku: „Szanowny pan co uważa?"

„Widzi pan, oglądam co pan ma do sprzedania".

Sprzedawca przygląda mi się dłuższą chwilę ciężkim spojrzeniem, w końcu: „Popatrzeć można" — wraca do swej budki, zza warząchwi obserwuje mnie.

W miarę kupowania deseczek, sprzedawca zaczął nabierać do mnie przekonania; pozwalał mi już przebierać w towarze i sam wybierał deseczki co lepsze. A nawet wyskakiwał do podręcznego składziku po bardziej suche i równe, zostawiając kram pod moją opieką.

Gdy go pytałem — „Panie, nie boi się pan zostawiać mnie samego w interesie?" — sprzedawca patrzył na mnie poważnie i mówił: „Spokojna głowa! Ma się to oko!"

Pomału więc powstało między nami coś w rodzaju zażyłości. Witał mnie już pierwszy... „Szanowanie sąsiadowi. Co dziś kupujemy?" Gdy jeszcze dowiedział się, że tych deseczek używam do malowania, szacunek jego do mnie jeszcze wzrósł. Wyobraził sobie, że robię kolosalne interesy. Nie wyprowadzam go z błędu, bo to zawsze miło, Panie Redaktorze, być poważanym i mieć opinię bogatego człowieka.

Gdyby tak się dowiedział prawdy, kredyt zaufania od razu bym stracił i nie miałbym po co mu się pokazywać. Więc nic na ten temat nie mówię, a on wyobraża sobie wszystko jak najlepiej.

Czasem zastępuje go wielka, silna niewiasta. Boję się jej trochę, bo ma przenikliwe spojrzenie — a nuż mnie zmierzkuje?

Więc u tej niewiasty staram się jak najmniej kupować, chyba, że nie ma innego wyjścia.

Gdy stałem raz w barze po żetony na obiad, coś mnie trąciło twardo w plecy, zupełnie jak sztywnym kawałkiem drewna. Obejrzałem się — stoi mój sprzedawca, wyciąga równo wyprostowaną dłoń i mówi: „Szanowanie, szefie".

Bardzo mi to pochlebiło. Jedliśmy obiad razem, on kapuśniak i pierogi z serem; ja zupę pomidorową i kopytka lowickie.

Obiad był nieco uroczysty, nic do siebie nie mówiliśmy. Razem z kopytkami przełykałem krzepiące słowo „SZEFIE".

Czy nie uważa Pan, Redaktorze, że to niezgorsze słowo?

WACŁAW KONDEK

POLKA z KSIĄŻKAMI

WSPOMNIENIA JACKA FRÜHLINGA

Jacek Früling, znany i znakomity tłumacz literatury niemieckiej oraz krytyk teatralny, ogłosił swoje wspomnienia *). Obejmują one całe „półwiecze naszego stulecia. Autor, urodzony w Rosji, rozpoczyna od wspomnień dzieciństwa, kiedy jako mały chłopiec, znalazłszy się po raz pierwszy w teatrze, uległ jego czarowi i odtąd już teatr stał się prawdziwą pasją jego życia.

Ciekawe są wspomnienia autora z okresu lwowskiego. Życie literackie i artystyczne Lwowa odmalował autor żywo i obrazowo, nie stroniąc od anegdoty, zwłaszcza wiele miejsca poświęcił opisowi przedstawień teatralnych i nakreśleniu sylwetek aktorów, dziś już zapomnianych. Lata pierwszej wojny spędził autor znowu w Rosji, tym razem jako jeniec, po wybuchu rewolucji prowadził działalność polityczną w środowisku tamtejszej Polonii. Okres międzywojenny w Polsce upłynął Früblingowi na intensywnej pracy dziennikarskiej i przekładowej.

Ponieważ autor dużo podróżował, w jego książce wiele jest wrażeń z pobytu w obcych krajach, gdzie znowu głównie i przede wszystkim interesowały go zjawiska teatralne. Po drugiej wojnie światowej, Jacek Früling pracował początkowo jako redaktor w Krakowie, a następnie jako attaché prasowy w poselstwie polskim w Bernie szwajcarskim.

„W moim kalejdoskopie" zaleca się dobrym, żywym tokiem narracji, z kart tej sympatycznej książeczki wyziera ku nam świat dawno miniony, opromieniony blaskiem przeżyć i wspomnień pisarza.

J. K.

*) Jacek Früling: „W moim kalejdoskopie". Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1964.

PROMIENIŚCI

Dzieje łódzkiej organizacji bojowej działającej w czasach okupacji ukazują się już po raz drugi, tym razem nakładem wydawnictwa centralnego. Publikacja szczególnie cenna, gdyż jej autorem jest jeden z założycieli „Promienistych", Stanisław Gajek.

Relacja z dziejów „Promienistych" została spisana stosunkowo niedawno, dlatego też dobrze się stało, że autor, nie rezygnując z partii czysto osobistych, nastawił się na książkę dokumentalną. Stąd tyle w niej komentarzy na temat podziemnych organizacji w Polsce w ogóle, a w Łodzi w szczególności. Stąd też sporo w niej cytatów z materiałów archiwalnych i dokumentów.

Ruch podziemny w Łodzi, przyłączonej do Rzeszy, kształtował się zupełnie inaczej niż w Generalnej Guberni. W pierwszych latach okupacji nastawiony był wyłącznie na sabotaż i działalność uświadamiającą. Brakowało broni, a chałupnicza produkcja „bomb" nie stała w żadnej proporcji do uzbrojenia okupanta. Mimo tych trudności techniczny ruch lewicowy w Łodzi przeszedł dramatyczną drogę ewolucyjną od akcji sabotażu do zbrojnych akcji dywersyjnych. Poważny udział w walce mieli chłopcy z „Promienistych".

Autor narysował szeroką panoramę sytuacji wszystkich lewicowych oddziałów bojowych działających na terenie Łodzi. Sporo uwagi poświęcił też Stanisław Gajek łódzkiej organizacji pepeerowskiej, której kierownictwo padło ofiarą prowokacji hitlerowskich agentów.

Książka ukazała się w dużym nakładzie 10 tys. egzemplarzy.

K. F.

Stanisław Gajek: „Młodzi z Garnizonu Łódź", Wyd. „Iskry" 1964, str. 206, cena zł 12.

„OGRÓD RODZINY FINZI-CONTINICH"

Ileż książek poświęcono problemowi rasizmu faszystów? Martyrologia milionów Żydów w krajach okupowanych przez faszystów poruszyła sumienie świata. Tego nie będzie można nigdy zapomnieć. Każdy nieomal pisarz uważał za swój obowiązek mówić o tym, wyrazić protest moralny przeciw zezwierzęceniu ludzi. Ale każdy mówił o tym inaczej. Przeważnie pokazywano nam w naturalistyczny sposób kaźnię, męczeńską śmierć Żydów, ich bohaterstwo w walce nie tylko o życie, lecz i o godność ludzką.

Inaczej Giorgo Bassani. Ten pisarz pokazuje nam zamożną rodzinę żydowską z Ferrary, izolowaną prawie od świata — murem okalającym ich bogatą posiadłość i pieniędzmi, które oddzieliły ich od innych. Izolacja ta trwa lata całe, jest dość szczelna, bo nawet dzieci Finzi-Continich pojawiają się w szkołach tylko raz do roku, by zdawać egzaminy państwowe, naukę odbywają prywatnie.

Proces integracji Żydów w Ferrarze odbywa się dopiero w obliczu zagrożenia, gdy faszyści włoscy zaczynają stosować pierwsze ustawy rasistowskie. Wówczas w murze otaczającym piękny i duży ogród Finzi-Continich zdaje się wyłaniać wyrwa, przez którą do ich domu napływają młodzi ludzie z żydowskich domów, by mieć namiastkę tego, co było ich przywilejem — życia towarzyskiego, którego ich pozbawiono — dzieląc ludzi według rasy.

Między córką gospodarzy i młodym synem żydowskiego lekarza nawiązuje się wówczas nić sympatii raczej niż miłość. Jesteśmy świadkami narodzin uczucia i cierpień młodego człowieka, który, jak się okazało, kochał bez wzajemności.

O wypadkach dziejowych pisarz wspomina zaledwie od czasu do czasu, jakby nawiasem tylko, ale może właśnie dlatego groza ich staje się w nas silniejsza. Dopiero z kilku zdań w epilogu dowiadujemy się, że piękna Micol, wraz z całą rodziną zostaje zniszczona przez faszystów. Bohater powieści wraca po latach do ich ogrodu, wspomina ich grobowiec, przypominający grobowce etruskie.

Proza ta, choć czyta się ją potoczyście i można by rzec lekko, nie nosi specjalnie cech nowatorstwa. Książka miejscami przypomina prozę T. Manna, bo każde zdanie znaczy tu wiele i często trzeba do przeczytanych fragmentów wracać raz jeszcze.

JHW

Giorgio Bassani „Ogród rodziny Finzi-Continich", Warszawa, 1964, PIW (seria KIK), str. 317, cena 23 zł.

JAN ŚPIEWAK

Konstanty Ildefons GAŁCZYŃSKI

Niejeden krytyk, niejeden czytelnik zadaje sobie pytanie, czym właściwie jest poezja Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, jak ją określić i zdefiniować. Jest to poezja żywiołowo przyjmowana przez czytelników i kontrowersyjnie przez krytyków. Dla jednych jest ona czułostkową rekwizytornią, operującą banałami, dla innych a tych większość, jest to poezja przesycona humorem, ironią i autoironią, wielopłaszczyznowa o własnej, niepowtarzalnej sile wyrazu, tworząca swój własny „gałczyński świat".

Poezja Gałczyńskiego nie zawiera się w zewnętrznych warstwach słownych, gdzie humor wyczynia cuda. Wyobraźnia poety jest wyjątkowo lotna, operuje skrótami, spiętrzona wewnętrznie pozostaje w nieustannym ruchu. Podobnie jak w sztukach Szekspira groza łączy się u Gałczyńskiego z pozorną błazenadą, liryka z niewysłowieniem. Nieustannie trwa zmienna podróż wyobraźni. Dokąd podąża, do jakich krain zaprowadzi nas Konstanty Ildefons Gałczyński. Czy jest on prestidigitatorem? Czy koła ogniste, które tworzy są prawdziwe czy sztuczne? Nie ważne, nieistotne. Któż zadaje sobie w teatrze pytanie, czy rzecz dzieje się naprawdę? Poezja Gałczyńskiego jest zabawą w teatr. Trwa nieustanna commedia del arte, w której czynnie musi uczestniczyć publiczność. Bez udziału publiczności nie ma teatru del arte, nie ma i nie może być atmosfery dialogu, riposty, nieustannej zmiany światła. W teatrze tego typu publiczność przychodzi, odchodzi, podjudza aktorów, zapomina o swoim istnieniu. Nie przeszkadza jej gwar miasta, tupot nóg przechodniów, uderzenia podków o bruk. Atmosfera ta wnosi niepokój i niewyreżyserowane z góry efekty. Pod tym względem poezja Gałczyńskiego jak gdyby także wywodzi się z tradycji igrców. Na tym polega jej siła i żywotność. Będąc swoiście ludową zabawą, syci się ona atmosferą ulicy, ruchu, dynamiki, czułością uczuć i goryczą.

Gałczyński posiadał niepospolite wykształcenie, o jakie go na szczęście nie posądzano. Nie ma nic wspólnego z poezją uczoną, mentorską. Gałczyński nie pouczał, nie bawił się w filozofa, nie prowadził czytelnika grzecznie za rękę ani nie piorunował na niego. Nie wywyższał się nad czytelnikami, nie kazał podziwiać siebie: patrzcie jaki jestem mądry i szlachetny. Gałczyński jest taki sam jak jego czytelnicy, ma te same wady i te same zalety. Nie lubi ludzi napuszonych, kpi z nich razem z czytelnikami. Stąd zrozumiała jest jego niechęć do pewnego typu inteligenta, tego zgrywającego się, udającego wewnętrzne rozdarcie. Dźwigającego na plecach fortepian Szopena. Gdybyż ów rozdarty inteligent przynajmniej umiał grać na tym fortepianie i wydobywać tony ostre i prawdziwe. Gałczyński jest jedynym poetą, który konsekwentnie walczył z postawą zawodowego pesymisty, wywodzącego się z ducha „młodopolski" jako echo rozcieńczonego postromantyzmu. Konstanty Ildefons kpił z przywar narodowych, nienawidził grymasu postromantycznego. On jeden konsekwentnie walczył z tą poezją całym arsenałem swojej poetycko-satyrycznej broni.

Gałczyński w przepysznych miniaturach teatralnych szczególnie mówił jasno, przekonywająco, przynosił wzruszenia dziwności a przede wszystkim uśmiech, którego tak mało niestety jest we współczesnej nam poezji polskiej. Tak, wielu współczesnym poetom zabrakło śmiechu, rozładującego niepokoje, przynoszącego możliwość wewnętrznej samokontroli, ujrzenia siebie w momencie, kiedy zmarszczki na twarzy i czole nagle rozpływają się i nikną, kiedy błękit staje się błękitem, drzewo, — drzewem, a ulica staje się początkiem niespokojnej podróży.

Czy cała twórczość Gałczyńskiego mieści się w obszarach teatru del arte lub groteski? Jak każda próba poetyckiej definicji i ta jest umowna i dotyczy części jego twórczości. Gałczyński był wrażliwy na sprawy swego narodu. W wielu wierszach pisanych przed wojną dostrzec można zainteresowanie się tymi sprawami. Ciężkie doświadczenia wojenne, lata przebywania w charakterze jeńca w stallagu, pogłębiły jego charakter, skierowały zainteresowania w innym kierunku. Wszystkie wspomnienia o Gałczyńskim pisane przez współjeńców, zgodnie rysują jego postać. Gałczyński w niewoli zachowuje się godnie. Pisze wiersze patriotyczne o biało-czerwonej sfladze, „Pieśń o żołnierzach z Westerplatte". Jego wiersze z tego okresu jak na „Sen żołnierza" i „List jeńca" oddają atmosferę ciężkich obozowych przejść. Gałczyński wraca do kraju i z całą szczerością wchodzi w nurt spraw, którymi żyje społeczeństwo. Jego wiersze z tych lat, nie tylko pyszne „Liryka, liryka, tkliwa dynamika" i „Zaczarowana dorożka" ale i „Kolczyki Izoldy", kłębią się od ważkich spraw. Potem przyszły wiersze takie jak „Na śmierć Esteryny deportowanej przez hitlerowców wenecjanki". Po wojnie Gałczyński zamieszkał najpierw w Krakowie, występował z ogromnym powodzeniem w teatrzyku „Siedem kotów", potem przenosi się do Szczecina, dużo pracuje, po paru latach wraca do Warszawy, aby tam osiąść na stałe. Nie przestaje być sobą, nigdy nie traci poczucia humoru, jak zawsze finezyjnego a jednocześnie jak najbardziej lirycznego. Odbudowująca się z dużym rozmachem Warszawa pociąga poetę. Cieszy się z odbudowy, raduje go każda nowa dzielnica. Stoi wśród tłumu setek warszawiaków i wpatruje się jak powstaje nowe piękno stolicy. Stąd wiersz „Mariensztackie szaleństwo". Nie dziwię mu się, tak odczuwała większość mieszkańców Syreniego Grodu. Odbudowa Warszawy u wielu poetów i u Gałczyńskiego łączyła się z wierszami o pokoju. Ale gdzie miały powstać takie wiersze, jeśli nie w mieście, które miało być starte z powierzchni ziemi a odrodziło się na nowo.

Pod koniec życia Gałczyński umiłował jeziora olsztyńskie i tam w leśniczówce „Pranie" napisał wiele pięknych poematów. Gałczyński rozmiłowany był w klasyce polskiej i łacińskiej. W pięknym poemacie „Niobe" pisał o sobie „ja czeladnik u Kochanowskiego", oczywiście z ducha a nie z formy. Klasyczne motywy są wyraźne niemal we wszystkich najwybitniejszych jego utworach. Klasyczność Gałczyńskiego łączyła się z głębokim rozumieniem muzyki, szczególnie Bacha, którego uwielbiał. Wiersz Gałczyńskiego „Wielkanoc Jana Sebastiana Bacha" należy bodajże do najciekawszych wierszy tego typu, jakie powstały w poezji polskiej. Wszystkie jego wiersze charakteryzuje żywioł muzyczny. Charakteryzując jego poezję należy bezwzględnie podkreślić jeszcze jedną, niezmiernie istotną cechę jego poezji. Gałczyński jest piewcą życia doczesnego, piewcą życia rodzinnego, miłości małżeńskiej. Nieprzypadkowo też po jego śmierci do redakcji pism napływały setki listów od jego czytelników. Czytelnicy tę jego cechę twórczości podkreślili szczególnie, bolejąc, że poeta przestanie towarzyszyć ich codziennemu życiu.

O Gałczyńskim można pisać wiele, można odkrywać coraz to inne strony jego twórczości. Minęło już jedenaście lat od dnia nagłej jego śmierci. Nakłady jego poezji rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy. Jego wiersze recytowane są żywiołowo w teatrzykach poetyckich w miasteczkach i na wsi. Gałczyńskiego recytują i amatorzy i najwybitniejsi recytatorzy. Jego poezja jest nadal świeża. I nic nie wskazuje na to, by miała zwiędnąć. Nadal wzruszać będzie „Opis domu poety", „Wielkanoc Jana Sebastiana Bacha", „Przez świat idące wołanie" i niezapomniane „Pieśni". Gałczyński jest poetą na wskroś samoistnym, niepodobny do swoich poprzedników, wiersze jego są na pozór proste. Ich wartość tkwi w głębokich wewnętrznych warstwach międzysłownych. Toteż nikt nie potrafi go naśladować, chociaż wielu próbowało podpatrzyć jego metodę twórczą. Gałczyński nadal uwodzi, bawi, niepokoi, porywa i prowadzi do swoich własnych, niepowtarzalnych światów.

Wkrótce ukaże się na półkach księgarskich nakładem Wydawnictwa Łódzkiego tom wierszy Mariana Piechala, poświęcony naszemu miastu, pt. „Miasto nadziei" w pięknej szacie graficznej według projektu Stefana Wegnera.

Książka ta została wydana z inicjatywy i dzięki wydatnej pomocy Wydziału Kultury Rady Narodowej m. Łodzi.

Ponieważ fakt ten nie został zaznaczony odpowiednią wzmianką w samej książce, uważamy za konieczne podać tę informację za pośrednictwem prasy.

Jednocześnie pragniemy tą drogą wyrazić Wydziałowi Kultury Rady Narodowej m. Łodzi gorące podziękowanie za umożliwienie wydania tej tak cennej i milej sercu każdego łodzianina książki.

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

NATALIA GĄSIOROWSKA jako pedagog

W interesującym życiorysie na 50-lecie pracy naukowej Natalii Gąsiorowskiej zamieszczonym w Kwartalniku Historycznym z 1956 r. czytamy: „Wysunęliśmy tu na plan pierwszy społeczne bodźce kształtowania się umysłowości i postawy Natalii Gąsiorowskiej i społeczne, nauczycielskie w najszerszym tego słowa znaczeniu aspekty jej całego życia. Stanowiły bowiem niechybnie i stanowią dzisiaj jej cechę bardzo szczególną i ważną. One też w znacznym, a może decydującym stopniu nakierowały zainteresowania naukowe Gąsiorowskiej i uwarunkowały tematykę jej pracy".

Natalia Gąsiorowska (ur. 20. V. 1881 r.) była z tego pokolenia, które spędziło młodość w jawnej i podziemnej walce z caratem, które wdrażało się wcześnie do konspiracji i w ciężkich warunkach niewoli dojrzewało przedwcześnie. Bezpośrednio po ukończeniu gimnazjum Gąsiorowska zaczęła pracować w tajnych kompletach dla dzieci i młodzieży w zakresie szkoły elementarnej prowadzonej w Warszawie przez Cecylię Śniegocką w mieszkaniach robotniczych. Jednocześnie wykładała w kółkach samokształceniowych, które tworzyli uczniowie gimnazjum rządowego.

Uczyli się tu poznawać Polskę — jej dzieje, literaturę i język. Gąsiorowska pracuje także nad sobą. Nie mogąc wyjechać na studia uniwersyteckie z powodu ciężkich warunków materialnych kształci się pod kierunkiem prof. Ludwika Krzywickiego i Mahrburga na prywatnych kursach nauk społecznych. Tymczasem spełnia się marzenie młodej nauczycielki — uzyskuje możliwość studiów za granicą. W ciągu trzech lat studiuje w sławnych ośrodkach naukowych — w Heidelbergu, Zurychu, Paryżu — historię, ekonomię, prawo państwowe, filozofię. W roku 1910 w seminarium historii nowożytnej prof. Szymona Askenazego uzyskuje dyplom doktora filozofii przedstawiając pracę pt. „Wolność druku w Królestwie Kongresowym".

Wróciwszy do kraju Gąsiorowska włącza się do działalności pedagogiczno-kulturalnej. W latach 1905—1906 rozkwitała w Królestwie oświata robotnicza. Tajne komplety, koła o różnych nazwach ogarniały dorosłych, łącząc nie rzadko w jednym gronie przedstawicieli inteligencji i pracowników fizycznych. W tych nielegalnych kołach Gąsiorowska bierze żywy udział jako nauczycielka. Wykorzystując doświadczenia z pracy oświatowej w „Stowarzyszeniu Kursów dla Analfabetów Dorosłych", Gąsiorowska napisze w kilka lat później książkę pt. „Historia Polski w nauczaniu analfabetów dorosłych" — zawierającą wskazówki metodyczne dla nauczycieli. W „Uniwersytecie dla Wszystkich", rozwijającym się w latach 1905—1909 Gąsiorowska pracowała w jego stadium organizacyjnym oraz w końcowym okresie istnienia. Była to instytucja kulturalno-oświatowa skupiająca żywioły postępowe. Gąsiorowska jeździła do ośrodków robotniczych Łodzi, Zagłębia Dąbrowskiego i innych, gdzie wygłaszała odczyty i pogadanki dla robotników.

W roku 1904 wstąpiła do Paryskiej Sekcji PPS, a po rozłamie w partii przeszła do PPS-Lewicy. Na liście wybitnych krajowych działaczy PPS-Lewicy figurowała pod pseudonimem „Hanka". Za pracę społeczną i polityczną jest czterokrotnie aresztowana, pierwszy raz w 1906 r. w czasie wykładu z młodzieżą robotniczą w mieszkaniu robotnika warszawskiego, osadzono ją wówczas na Pawiaku. Pod koniec 1918 r. znalazła się w szeregach KPRP.

Od r. 1926 Gąsiorowska zostaje profesorem zwyczajnym historii społeczno-gospodarczej i powszechnej nowożytnej na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie a następnie w łódzkim oddziale tej uczelni od jej założenia, tzn. w latach 1928—1939.

WWP — to był najpiękniejszy rozdział jej pracy pedagogicznej.

Wykłady profesor Gąsiorowskiej cieszyły się dużym powodzeniem. Słuchając jej wiedzieliśmy, że mamy przed sobą urodzonego pedagoga, człowieka zaawansowanego w działalności społecznej i politycznej, że przemawia do nas historyk odważny i oryginalny w poglądach, tak różny od tych, których dotąd czytało się lub znało. W problematyce prac seminaryjnych ożywały ulubione tematy profesora: geneza kapitalizmu, zagadnienia przemysłu włókienniczego łódzkiego, dzieje klasy robotniczej — no i przede wszystkim Rewolucja Francuska. Jakże inny wydał mi się wówczas „tyran" Robespierre, gdy pisałam o nim pracę seminaryjną na podstawie lektury francuskiej wskazanej mi przez profesora.

Zaczęły powstawać pierwsze prace dyplomowe zajmujące się problemem rozwoju gospodarczego Łodzi i okręgu, prace o przemyśle włókienniczym. Jako opiekunka Koła Historyków Natalia Gąsiorowska okazywała się zawsze gotowym z pomocą przyjacielem studentów. Powoli ogarniała nas w tej uczelni atmosfera jednej wielkiej rodziny, której nie zdołał zniszczyć czas ani oddalenie.

Odtąd Gąsiorowska z roku na rok coraz bardziej wrastała w życie społeczne i naukowe naszej Łodzi, miasta, do którego mieszkając już później w Warszawie ciągle i chętnie powraca, ostatni raz na kilka tygodni przed końcem swej pięknej, wspaniałej drogi.

Gąsiorowska bierze czynny udział w zjazdach historyków krajowych i międzynarodowych, wygłaszając referaty z dziedziny historii społeczno-gospodarczej. Jako pedagog i popularyzator dydaktyki historii współpracuje z ZNP. W czasopismach fachowych omawia sprawy metod nauczania historii w szkołach powszechnych, zawodowych i wyższych. Informuje o najnowszych prądach w nauczaniu historii w ZSRR.

W czasie drugiej wojny światowej Gąsiorowska prowadzi w Warszawie wykłady w tajnych kompletach WWP. Pracę tę przerywają okresy, kiedy musi się ukrywać; na jakiś czas przyjeżdża do swej asystentki z WWP przebywającej w Głownie koło Łowicza.

W r. 1945 Natalia Gąsiorowska mając za sobą wszystkie okropności wojny — ukrywanie się przed wrogiem, zniszczony dom i spaloną cenną bibliotekę, przymusową pracę fizyczną w Niemczech po powstaniu warszawskim — przybywa do Łodzi i organizuje uniwersytet. Atmosfera Polski Ludowej stwarzała pomyślne warunki dla tego człowieka o niezwykłej żywotności umysłu i godnej pozazdroszczenia pasji pracy. Mianowana profesorem zwyczajnym historii społeczno-gospodarczej na Uniwersytecie Łódzkim zostaje kierownikiem zakładu tej samej specjalności. Wobec braków w kadrach nauczycielskich organizuje Wyższą Szkołę Pedagogiczną jako jej pierwszy rektor i wykładowca. Prowadziła także wykłady w Wyższej Szkole Handlowej w Łodzi i na Uniwersytecie Warszawskim. I tu znów występuje teoretyk-pedagog. Wciąga wykładowców historii do tworzenia nowych programów nauczania tego przedmiotu w szkołach średnich i podstawowych; jednocześnie pracując zespołowo redaguje i pisze podręczniki szkolne, w których zaczyna się stosować nowe zasady — metodę marksistowską. Dużo energii wkłada w wykształcenie kadr historyków marksistów, prowadzi konserwatorium marksistowskie.

W r. 1948 zorganizowała na UŁ Instytut Historyczny i objęła jego kierownictwo. Zaczyna teraz okres tworzenia własnej „historycznej", której trzonem są jej uczniowie, starzy i nowi, jej doktoranci i docenci. Ta grupa zebranych przy katedrze historii społeczno-gospodarczej pracując zespołowo pod naukowym i pedagogicznym kierunkiem Gąsiorowskiej przygotowała i ogłosiła drukiem 5 tomów publikacji „W stulecie Wiosny Ludów". Pod tą samą redakcją opublikowano w latach następnych 3 tomy źródeł archiwalnych dotyczących przemysłu i klasy robotniczej Łodzi i regionu. Po przeprowadzeniu się do Warszawy w 1959 r. kontynuuje tam pracę zespołową nad wydawnictwem źródeł, rozszerzając tematykę na całą Polskę. Bibliografia prac profesora obejmuje przeszło 200 drukowanych pozycji. Zestawiając ich problematykę z chronologią publikacji stwierdzamy u historyka pełną świadomość dokonywających się współcześnie procesów historycznych. Gąsiorowska je przeżywa i zajmuje wobec nich stanowisko; jej twórczość służy często zapotrzebowaniu społecznemu. W okresach rewolucji ogłasza drukiem „Rewolucję Francuską", „Wiosnę Ludów", „Komunę Paryską". W swych publikacjach opowiada się po stronie ludzi pracy, czy to robotników — tkaczy, czy górników i hutników.

Pracuje w komitetach redakcyjnych wielu czasopism naukowych. Wobec braku miejsca w artykule można tylko wspomnieć o aktywności w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, w Łódzkim Towarzystwie Naukowym. Jako wieloletni prezes Łódzkiego Oddziału PTH włożyła wiele pracy w organizowanie działalności naukowej łódzkiego ośrodka badań nad historią. I tu odzywa się nauczycielka — szczególną jej troską było wciągnięcie w szeregi członków PTH łódzkiego nauczycielstwa poprzez zainteresowanie ich tematyką, udzielanie pomocy dydaktycznej. Celem uzupełnienia jej działalności pedagogicznej przypomnijmy, że Gąsiorowska stała na czele Międzywydziałowego Studium Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym.

Mieszkając stale w Warszawie wprzęga się w życie naukowe stolicy. Jest prezesem rad naukowych Instytutu Historii PAN i Zakładu Historii Partii przy KC PZPR. Mimo nawału prac przez kilka jeszcze lat dojeżdża na seminaria do Łodzi, interesuje się gorąco postępami prac swych dawnych uczniów. Wyrazem uznania za ofiarną pracę, wyniki wychowawcze i serdeczny stosunek do Łodzi było nadanie przez Senat UŁ w 1961 r. tytułu doktora honoris causa.

Władze Polski Ludowej doceniając zasługi w dziele upowszechniania kultury i wiedzy historycznej obdarzyły Natalię Gąsiorowską-Grabowską najwyższymi nagrodami i odznaczeniami. Jej praca pedagogiczna uwieńczył tytuł Zasłużonego Nauczyciela PRL.

DOC. DR ANNA RYNKOWSKA

CO SIĘ DZIEJE?

W ostatnich dniach listopada odbywał się w Łasku doroczny, tradycyjny już w tym powiecie przegląd wiejskich zespołów teatralnych. Tym razem najlepszą ocenę uzyskał zespół ZMW w Magnusach za inscenizację „Wesela Zakościelskiego".

Przy okazji warto wspomnieć, że ten montaż autentycznych przyśpiewek i „pogaduszek" obrzędowych z Rawskiego cieszy się u nas ogromnym powodzeniem i ostatnio był chyba najczęściej wystawiany przez teatry amatorskie. Oczywiście, obok „Dramatu Joli" — J. Łęczyckiej i „Posażnej jedynaczki" — Al. hr. Fredry.

* * *

Od niespełna roku działają w woj. łódzkim trzy Kina Dobrych Filmów: w Sieradzu, Piotrkowie i Pabianicach. A choć jeszcze „młode to i zielone" — nie muszą się wstydzić swojej dotychczasowej działalności. Bo na przykład do tej pory przeprowadziły już one 10 miesięcznych cykli tematycznych, uwzględniających między innymi takie zagadnienia, jak kreacje filmowe Gerarda Philippe'a, warsztat reżyserski Ingmara Bergmana, różne gatunki komedii filmowej, rozwój westernu, Szekspir na ekranie i in. Poza tym wprowadzają ciekawą tradycję organizowania tzw. „sesji wyjazdowych" do miejscowości kulturalnie zaniedbanych.

Nie muszę nikogo przekonywać o potrzebie takiej działalności. Wystarczy powiedzieć, że nigdy prawie nie starcza miejsca dla wszystkich miłośników X Muzy, chcących wziąć udział w „sesji" organizowanej w Widawie, Wojsławicach, czy gdzie indziej. A na przyszły rok — jeszcze odważniejsze plany: KDF chcą zaprezentować swoim widzom główne nurty współczesnej kinematografii, powiększyć ilość wyjazdów na wieś i przy okazji inspirować tam powstawanie klubów miłośników filmu. Pod przewodnictwem i troskliwą opieką prof. W. Jewsiewickiego z PWSTiF — niewielka grupka entuzjastów prowadzi naprawdę dobrą robotę!

* * *

Ponure. Według danych zaczerpniętych z Rocznika Statystycznego na r. 1963, ponad 4 miliony pracujących w wieku 18—40 lat nie posiada wykształcenia podstawowego. W tym ponad 900 tysięcy nie umie pisać i czytać. Natomiast w latach 1945—1963 szkoły podstawowe dla pracujących ukończyło zaledwie 890 tysięcy osób. To dużo, ale o wiele za mało. Zwłaszcza, że jesteśmy wciąż „szczęśliwymi posiadaczami" wyżu demograficznego. Dlatego nie można już chyba dłużej zwlekać z dokładną rewizją dotychczasowego systemu i programu kształcenia dorosłych. To się może poważnie nie opłacić...

(H. K.)

Kino Dobrych Widzów

NIEŁATWO NIEGŁADKO

Po pokazie prasowym „Pierwszego dnia wolności" rozpoczęła się (i nie zakończyła, oczywiście — rozszerzy się zapewne wkrótce na wielu widzów) dyskusja między recenzentami i krytykami, a twórcami filmu. W swojej wypowiedzi reżyser filmu, Aleksander Ford, stwierdził że przeniesienie na ekran kinowy utworu dramatycznego pisanego dla teatru wymaga zdania sobie sprawy z tego, że w samym utworze nie ma nic świętego w sensie możliwości przetwarzania, pod koniecznym wszakże warunkiem, że sens filozoficzny sztuki teatralnej, jej idea zostanie utrzymana. Tę postawę wobec sztuki autorzy filmu mieli okazję niegdyś uzgodnić z autorem sztuki, Leonem Kruczkowskim.

Zmiany są — i to duże: znaczne rozszerzenie fabuły filmu w stosunku do sztuki, wprowadzenie wielu nowych postaci i rozszerzenie motywacji działań i losów postaci. Zmian jest zbyt wiele, by móc je wyliczać.

Jedno jest pewne — na ekranie nie mamy do czynienia ze sztuką Leona Kruczkowskiego, lecz z filmem Leona Kruczkowskiego, Aleksandra Forda i Bohdana Czeszki (scenarzysty). A także filmem wielu aktorów, którzy idee Kruczkowskiego upostaciowali w bohaterach żywych, prawdziwych, w których na ogół się wierzy.

Zawsze istotne i wciąż współczesne (może lepiej: także współczesne) konflikty i sztuki i filmu, moralno-psychologiczne problemy wolności i możliwości wyboru różnych życiowych decyzji, wszechstronna konfrontacja postaw Polaków i Niemców, wreszcie atmosfera psychologiczna i historyczna pierwszych godzin wolności — słowem to, co było ważne w sztuce Leona Kruczkowskiego, jest ważne także na ekranie.

Po obejrzeniu filmu nie byłem ani wstrząśnięty, ani szczególnie wzruszony (choć są momenty, w których odczuwanie, jak sądzę, dominuje nad myśleniem); tej mojej (i chyba nie tylko mojej) reakcji nie przypisuję jednak brakom filmu, przeciwnie — i sama tematyka utworu i sposób jej stawiania i rozstrzygania; to nie historyjka ani nawet nie historia z moralem, lecz sprawa innej rangi i zasięgu, materiał dla ważkich refleksji, dla zgody i dla sprzeciwu.

Jak przy odbiorze każdego autentycznego dzieła sztuki, suma wrażeń po obejrzeniu „Pierwszego dnia wolności" zależy nie tylko od intencji twórców i nie tylko od tego, na ile intencje owe udało się zrealizować. Poważnej modyfikacji uległy w filmie — w porównaniu ze sztuką — losy i motywy czynów

Beata Tyszkiewicz i T. Łomnicki w filmie „Pierwszy dzień wolności"

jednej z kluczowych postaci — Ingi. Ta młoda kobieta stała się bohaterką mniej określoną, przez to bardziej dyskusyjną i plastyczniejszą, chyba prawdziwszą, niż istniejące już przecież w tradycji inscenizacji teatralnych sztuki wzorce Ingi. To dobrze. Jednocześnie przydano jej w filmie narzeczonego, esesmana — monolit, postać wcale nie dyskusyjną, chyba mniej prawdziwą, niż wszystkie, istniejące w sztuce. To źle.

Reżyser zastosował (po raz chyba pierwszy w szerokoekranowym filmie) transfokator (obiektyw o zmiennej ogniskowej) jako środek montażu, dynamizacji, rozbicia i potem syntezy kadrów, a nie jako ułatwienie techniczno-produkcyjne. To sprawa na pewno ciekawa, dyskusyjna, ważna dla języka filmowego, nowoczesna. A więc dobrze. Jednocześnie reżyser zastosował po raz nie wiem już który ekspresjonistyczne obrazy alegoryczno-symboliczne o różnym stopniu natręctwa w różnych kadrach (w pierwszym kadrze filmu błyszczą na zbliżeniu obozowe druty, w ostatnim — nad miasteczkiem na chmurnym niebie wschodzi słońce...) Głośno grają rekwizyty (dzwon kościelny); gra światło (na cieniu: amputacja palców odmrożonej dłoni); gra opracowanie muzyczne (zjawia się na przykład sekwencja pieśni, śpiewanych w wielu językach). To wszystko już było, jeśli nawet nie dosłownie, w arsenale środków filmowych lat temu trzydzieści i dwadzieścia, nie uległo atrakcyjnemu ani głębokiemu przetworzeniu, stanowi inną tkankę w utworze, niż jego warstwy dyskursywna i akcyjna (gwałtowne działania, batalistyka). A więc — i źle.

Reżyser zażądał (jak myślę) i pozwolił na zastosowanie przez aktorów najostrzejszych środków wyrazu aktorskiego, z przejmującymi nieraz wynikami (świetna rola Tadeusza Fijewskiego, tragizm krzyków i płaczu Beaty Tyszkiewicz, plastycznie wystudiowane epizody Kazimierza Rudzkiego i Zdzisława Leśniaka, wiele innych). To bardzo dobrze. Jednocześnie zaś reżyser pozwolił, by ukazały się na ekranie fragmenty dialogów teatralnych, lecz nie filmowych, uogólnienia sceniczne, brzmiące w autentycznej przestrzeni filmowej fałszywie. A to — szczególnie w filmie tego typu — bardzo źle.

„Pierwszy dzień wolności" jest więc, jak myślę, dziełem żarliwym o stylistyce nieco rozwichrzonej, jest filmem, z którym można pokłócić się o szczegóły (jest co drobiazgowo analizować, są momenty, w których wymowna plastyka filmu (zdjęcia Tadeusza Wieżana) staje się wręcz barokowa). Nie o szczegóły jednak głównie chodzi — lecz o to, że z ich sumy wynika jednak prostota i struktury filmu i jego tendencji.

„Pierwszy dzień wolności", jak mi się wydaje, powstał przede wszystkim po to, by widzowie uwierzyli w realność bohaterów filmu, by przejęli się splotem ich losów. Uwierzyłem w nich i przejąłem się nimi tak, jak tego chcieli wszyscy twórcy filmu: na ich przykładzie zobaczyłem zawiłe konkretyzacje i indywidualizacje ogólnego pojęcia wolności, gdy się je wszechstronnie osadza w określonej epoce historycznej i w określonej chwili tej epoki. W „Pierwszym dniu wolności" nie zderzają się ze sobą dwa proste światy: dobry i zły, ten, który wygrywa i ten, który już przegrał, choć jeszcze walczy — w filmie kłębi się i oddziałuje na siebie nawzajem wiele światów indywidualnych, wiele pojęć względnych, czynów godnych i najwyższej pochwały i największej pogardy. Dzieje się to w wymiarach rzeczywistej tragedii ludzi związanych ze swoim czasem, z którego przecież nie mogą się wyzwolić.

Tak więc „Pierwszy dzień wolności" nie dostarczy swoim widzom rozrywki, nie wynikną z niego banalne aforyzmy o historycznej konkretności i zawiłości ludzkich losów, które nadawałyby się do zacytowania w błyskotliwej rozmowie; nie jest to film łatwy i gładki ani w czasie oglądania, ani potem, gdy myśli się o nim — właśnie dlatego jest to film wart i oglądania i myślenia o nim.

LECH PIJANOWSKI

LISTY CSOKORA

Listy pisarzy publikuje się zazwyczaj po ich śmierci. Wzbogacają one naszą wiedzę o autorze, rozświetlają miejsca niejasne, pozwalają niejednokrotnie lepiej zrozumieć jego książki i jego postępowanie. List jest najbardziej intymnym dokumentem i trudno sobie wyobrazić ogłaszanie tego rodzaju dokumentów za życia człowieka i za życia większości odbiorców jego zwierzeń. Są zresztą i takie listy, których nie podaje się do publicznej wiadomości nawet po śmierci ich autorów. Tak jest zazwyczaj. Ale bywają przecież wyjątki. O jednym z takich wyjątków chciałbym napisać w niniejszym felietonie, Franciszek Teodor Csokor, pisarz 79-letni, prezes austriackiego PEN-klubu, wydał książkę pt. „Zeuge einer Zeit. Briefe aus dem Exil 1933—1950" (Świadek pewnej epoki. Listy z wygnania). Książka ta interesuje nas zarówno ze względu na jej treść, jak i z uwagi na osobę jej autora. Csokor jest wypróbowanym przyjacielem Polski, wielce zasłużonym dla naszej kultury, a niestety, szerszemu ogółowi czytelników w naszym kraju wcale nie znany. Poza jedną jedyną jego publikacją „Na obcych drogach", która ukazała się u nas w 1960 roku, nic z jego obfitego dorobku nie istnieje w przekładach na język polski. Stara prawda, że Polacy nie umieją szanować swoich przyjaciół, znajduje tu pełne potwierdzenie.

„Listy z wygnania" są lekturą wręcz niezwykłą. Dla Csokora okres wygnania zaczął się już w 1933 roku, chociaż mieszkał wówczas jeszcze w swoim rodzinnym mieście Wiedniu, który przyszło mu opuścić w pięć lat później, po wtargnięciu Hitlera do Austrii. W 1933 roku odbył się międzynarodowy kongres PEN-klubu w Dubrowniku nad Adriatykiem. Uchwalono tam protest przeciwko paleniu przez hitlerowców książek i prześladowaniu pisarzy-humanistów. Jednym z sygnatariuszy tego protestu był Csokor. Oczywiście władze hitlerowskie wydały zakaz kolportowania jego książek w Niemczech i wystawiania jego sztuk na tamtejszych scenach. Został więc on wygnany z części swojego obszaru językowego i od tego momentu bierze początek jego los emigracyjny, najpierw w sensie duchowym, a później i fizycznym.

Tymczasem jednak pracuje Csokor nad nowym przekładem „Nieboskiej komedii" Krasińskiego, która wiosną 1936 roku została wystawiona w wiedeńskim Burgteatrze w znakomitej obsadzie aktorskiej. Oto, co na ten temat pisze Csokor w liście do swojego przyjaciela, również pisarza, Ferdynanda Brucknera, przebywającego wtedy w Paryżu: „A więc przedstawienie „Nieboskiej komedii" osiągnęło rzeczywiście sukces fantastyczny. Nestor polskiej literatury, poeta Leopold Staff, siedział w mojej loży, a mnie uhonorowano później na bankiecie w polskim poselstwie jak bym był świętej pamięci Zygmuntem Krasińskim, a nie skromnym adaptatorem jego utworu. Brawa wzmagały się ze sceny na scenę, a po ostrym dialogu pomiędzy Henrykiem i Pankracym, w którym stanęli naprzeciwko siebie dwaj najwięksi aktorzy niemieckiego języka, Werner Krauss i Ewald Balser, owacje publiczności trwały dziesięć minut bez przerwy". Autor, w uznaniu zasług dla kultury polskiej, odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi, w jakiś czas potem — również złotym wawrzynem Polskiej Akademii Literatury. Kiedy w marcu 1938 roku wojska niemieckie przekroczyły granicę niemiecko-austriacką i dokonał się tzw. Anschluss Austrii, polski poseł pełnomocny w Wiedniu, Jan Gawroński, umożliwił Csokorowi ucieczkę do Polski. Franciszek Teodor Csokor zamieszkał początkowo w Mikołowie na Śląsku u swoich znajomych, potem przeniósł się do Chorzowa, a wreszcie do Pruszkowa pod Warszawą, gdzie przebywał aż do wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku. W listach, pisanych z Polski do rozsianych po świecie przyjaciół, jak on emigrantów, opowiada o sytuacji polskiej, o swoim życiu i pracy. Pisze dramat o królowej Jadwidze, który w polskim tłumaczeniu Witolda Hulewicza nadało radio warszawskie, później zaś — zainteresowała się tym dramatem krakowska spółka filmowa, i podpisała z autorem umowę na scenariusz. Zdjęcia zaplanowano na wrzesień 1939 roku. Csokor otrzymał zaliczkę, ale filmu nigdy nie zrealizowano z wiadomych przyczyn. Kiedy pierwsze bomby niemieckie spadły na Warszawę, Csokor wraz z falą ludności polskiej, z dowodem obywatelstwa polskiego w kieszeni, udał się na tułaczkę. Przez Lublin i Tarnopol dotarł do Zaleszczyk, skąd przedostał się na ziemię rumuńską. W Bukareszcie nie utracił kontaktu z uciekinierami polskimi. Ale i tu nie zagrzał długo. Następny etap wędrówki to Jugosławia, a ściśle biorąc — wyspa Krczula na Morzu Adriatyckim, która przez cały okres wojny była we władaniu serbskich partyzantów. Gdy alianci wyzwolili obszar południowych Włoch, Csokor przedostał się do miasta Bari, po czym powrócił z armią aliancką do oswobodzonego Wiednia. Mimo tak trudnych warunków, z każdego miejsca wysyłał Csokor w świat listy, przekazując wiadomości o swoich przeżyciach, otrzymywał również listy od tych, którzy zdołali ujść śmierci. Wielu z jego przyjaciół nie przetrwało tych ciężkich lat wojny i okupacji. Jedni popełnili samobójstwo, inni zginęli w hitlerowskich więzieniach i obozach, jeszcze inni — padli ofiarą przypadku nagle i nieoczekiwanie. Oto najlepszy przyjaciel Csokora, powieściopisarz i dramaturg Öden von Horwath, znalazł śmierć na Champs Elysées w Paryżu, uderzony konarem drzewa, które silna burza zwaliła na bruk.

Tom zamyka „List do śmierci — czas i miejsce jeszcze nie znane", w którym Csokor pisze między innymi: „W ogniu Warszawy stałaś tuż za moimi plecami, byłaś przy mnie podczas trzęsienia ziemi w Bukareszcie, w bombardowaniu Belgradu — i w każdej ucieczce przez kraje, które padały, przez narody, które ginęły jak muchy".

Listy Franciszka Teodora Csokora ukazały się w tym roku, nakładem firmy monachijsko-wiedeńskiej Albert Langen und Georg Müller. Należałoby je jak najprędzej przyswoić językowi polskiemu, gdyż prawie w całości dotyczą naszych spraw, a przy sposobności mówią wiele o świecie i ludziach czasu wojny i zagłady.

Jan Koprowski

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Dziadek Mróz, który jest podobno krewnym św. Mikołaja, a ostatnio niektórzy zaczynają mówić, że to w ogóle ta sama osoba wkracza do akcji. Po raz siódmy przygotowuje się do gościnnych występów na Gwiazdkowym Kiermaszu Książek dla Dzieci i Młodzieży Domu Książki. Odświeżył brodę i wąsy, wyjął z naftaliny odświętne szaty, by godnie wystąpić na poniedziałkowym Kiermaszu.

Dziadek Mikołaj staje się coraz groźniejszy dla kieszeni rodziców. W tym roku nie wystarcza mu „urzędowanie" na Kiermaszu, wychodzi na Piotrkowską, by agitować za książką. Jeśli nie zadziała wizualnie na rodziców, to na pewno trafi do nich przez dzieci.

PONIEDZIAŁEK

I Łódź potrafiła dorobić się swoich festiwali. Miniony tydzień przyniósł aż dwa. Już po raz drugi odbywa się tu Międzyuczelniany Konkurs Muzyki Dawnej, a w jego ramach I Festiwal Polskiej Muzyki Baroku. Mamy więc własną muzykę baroku? Okazuje się, że mamy. W programie tego 6-dniowego Festiwalu znaleźliśmy 5 polskich nazwisk: Adam Jarzębski, Marcin Mielczewski, Jan Podbielski, Jan z Lublina i A. Rohaczewski. (O tych dwóch ostatnich nawet w encyklopediach nie znaleźliśmy wzmianki). I oto nasza „trudna" młodzież gra XVII-wiecznych kompozytorów, których nawet datę urodzenia nie zawsze znamy, których pamięć pozostała już tylko w nutach, nieraz chyba przypadkowo ocalałych.

Z okazji tej stareńkiej muzyki zjechało do Łodzi około 20 jak najbardziej współczesnych i jak najznakomitszych muzyków polskich — profesorów, pedagogów, wirtuozów, którzy zasiedli w jury. Boję się zacząć wymieniać nazwiska, bo wszystkie znakomite i żadnego nie da się pominąć. Gra zaś 55 młodych ludzi z wyższych szkół muzycznych Katowic, Krakowa, Łodzi, Sopotu, Warszawy i Wrocławia.

WTOREK

W teatralnej Łodzi znów „klęska urodzaju". Cztery premiery w jednym tygodniu. W Teatrze Nowym — „Indyk" Mrożka. W Łodzi oglądaliśmy go jedynie raz w wykonaniu teatru... amatorskiego, wiosną br. w czasie festiwalu teatrów amatorskich. W Teatrze Nowym reżyseruje J. Afanasjew — obecnie student PWSTiF w Łodzi.

Drugą premierą są „Kobiety z Niskavuori" H. Vuolijoki — pierwsza sztuka fińska po raz pierwszy nie tylko na łódzkich scenach. Wystawia ją Teatr im. Jaracza w reż. E. Bonackiej. W Teatrze Powszechnym „Robin Hood" według powieści Kraszewskiego, tym razem już w reżyserii łodzianina — J. Mazanka. A w Teatrze Ziemi Łódzkiej K. Choińskiego „Nocna opowieść" w reż. Cz. Staszewskiego.

Czy to istotnie klęska urodzaju? Chyba raczej dla recenzentów, jeśli otrzymają co najmniej dwa zaproszenia na jeden wieczór. Dla zwykłych śmiertelników klęski nie ma, jest okazja do obejrzenia nowych sztuk.

ŚRODA

Z dawna przygotowywana uroczystość XV-lecia Wyższej Szkoły Filmowej. 15 lat to i mało i dużo; dział rektor Toeplitz, to jedna czwarta istnienia filmu i trzy czwarte istnienia Polski Ludowej. Właściwie dyskusja nad udziałem absolwentów uczelni w osiągnięciach polskiej kinematografii odpada, albowiem wszyscy reżyserzy i operatorzy średniego i młodego pokolenia ukończyli tę właśnie szkołę. Jako, że jest jedyną w kraju. A że mieści się właśnie w Łodzi, mamy prawo być z niej dumni.

Nic dziwnego, że nie zabrakło ministra kultury Tadeusza Galińskiego i wiceministra Zaorskiego, łódzkich władz partyjnych z I sekretarzem Komitetu Łódzkiego Partii, Michaliną Tatarkówną-Majkowską i miejskich — z przewodniczącym Prez. RN m. Łodzi Edwardem Kaźmierczakiem. Przed gmachem MDK — sznur samochodów, przynajmniej w połowie ze znakami warszawskimi, wewnątrz gmachu sam kwiat polskiej kinematografii.

Są jeszcze goście zagraniczni: z Moskwy, Paryża, Pragi, Babelsbergu i Kilonii. Tu i ówdzie błyska ogolona na zero głowa (pewno z „Faraona"). Gratulacje, pochwały, uściski, atmosfera świąteczna. Potem był bankiet w gronie ściślejszym, a dla wszystkich w Galerii Sztuki wystawa obrazująca historię i dorobek szkoły.

CZWARTEK

Wigilia „Barbarki", która od lat niewielu jest także świętem Ziemi Łódzkiej. Cała Polska składa życzenia swym najlepszym. Nawet w sektorze legend i baśni zamieszanie. Ponoć diabeł Boruta, któremu sprzykrzyło się pilnować skarbów w podziemiach zamku łęczyckiego, zamierza zrzucić strój szlachecki i zamienić go na górniczy ekwipunek. A że do ciemności przywykły i bystra bestia, może z niego górnik będzie.

PIĄTEK

I oto drugi w tym tygodniu festiwal. Tym razem Studenckich Teatrów Satyrycznych, będący jednocześnie przeglądem przed międzynarodową imprezą tego typu, która odbędzie się w maju, w Warszawie. Oglądamy zespoły z Gdańska, Krakowa, Łodzi i Wrocławia.

Na widowni, w pierwszym rzędzie patron honorowy Festiwalu, ojciec miasta i przedstawiciele władz kulturalnych. Sala nabita po brzegi młodzieżą akademicką. Widać i gości z innych miast i „absolwentów" łódzkich STS i aktualnych, a także być może przyszłych aktorów-amatorów.

Pierwszy występ — uderzeniowy. „Termitiera" (poza tytułem nie ma nic wspólnego z łódzkim przedstawieniem w Teatrze im. Jaracza) w wykonaniu „Galerii" z Gdańska. Jest to zespół pięciu plastyków, więc i widowisko ma charakter plastyczno-ruchowo-dźwiękowy. W dodatku metaforyczny. Jako eksperyment na pewno ciekawe i na pewno za długie.

SOBOTA

Na co dzień słyszy się nieraz narzekania na zbyt słabe jeszcze powiązanie życia kulturalnego Łodzi z województwem. Że za mało wciąż widzów z tzw. terenu w teatrach łódzkich, że za mało — z drugiej strony — wizyt artystów i twórców łódzkich w terenie. To prawda, ale tylko na małym odcinku życia kulturalnego. Istnieje zaś ogromna dziedzina, w której współpraca ta dała wielkie rezultaty. To przede wszystkim sprawa współpracy naukowej: historyków, etnografów, socjologów itd. Prace naukowe doc. A. Kloskowskiej, prof. K. Zawistowicz-Adamskiej, doc. K. Żyguiskiego i wielu innych daleko posunęły naprzód badania nad folklorem Ziemi Łódzkiej, jej tradycjami, dorobkiem kulturalnym. Pomagają też na co dzień w znalezieniu najlepszych, najwłaściwszych form upowszechnienia.

Nad tymi właśnie problemami dyskutowano, na trzeciej już, sesji popularno-naukowej, poświęconej zagadnieniom kultury w naszym województwie, na przestrzeni minionych 20 lat. O wadze, jaką przykłada się do tych spraw, świadczyła obecność władz partyjnych z I sekretarzem KW PZPR — S. Jedryszczakiem i administracyjnych z przew. Prez. WRN — F. Grochalskim na czele. A żywa dyskusja po referatach świadczyła, że sprawy te bliskie są wszystkim działaczom kulturalnym. Spośród nich 25 najaktywniejszych otrzymało Honorową Odznakę Województwa Łódzkiego, zaś 37 — Odznakę Tysiąclecia.

ANDRÁS TABÁK

OSTATNIA NOC

Długa jest ulica Üllöi. Nocą sięga do gwiazd, do roziskrzonej Mlecznej Drogi i „Diabelskiego Wozu". Bo Wielką Niedźwiedzicę nazywają tu „Diabelskim Wozem". Kogo przekleństwo losu skazało na życie w osiedlu, idzie pod „Diabelski Wóz" i spluwa w kałuże, w których odbijają się gwiazdy. Tu, na skraju miasta błyszczą one wyraźniej, jedwabiściej lśni welon nocy i księżyc świeci tu jasniej. Gdziekolwiek spojrzeć, widać gwiazdy. Wparte w niebo kominy niewidoczne są w ciemności i tylko na moment wynurzają się z mroku, smukłe i strzeliste, jak palce wskazujące nieba, gdy spada gwiazda. Widać ją na niebie — jakby dymek ćmiącego się papierosa lub śnieżnobiałe pasemko odrzutowca.

Ludzie co wieczór siadają przed zmurszałymi domkami i patrzą na te blade smugi. Kiedy spada gwiazda — umiera człowiek.

Dzisiejszej nocy nie spadają gwiazdy. Dziś w nocy dłużej pozostają ludzie na dworze. Siedzą na ławkach i rozmyślają o tym, że jutro nie będzie już osiedla. Kiedy słońce dosięgnie szczytu komina będzie tu tylko wyboiste pustkowie. A ten kto będzie jechał budapeszteńską szosą na południe pomyśli sobie: „No, nareszcie, skończyli z tym osiedlem nędzarzy".

Dziś jest wyjątkowo ciemno. W wąskich uliczkach nie płoną latarnie. Po południu zjawili się tu monterzy i zdjęli przewody. Z okien pada poblask zapalonych świec. Kto po południu nie spakował rzeczy, drepcze teraz po ciemku. Do kufrów, do zszytych na poczekaniu worków, upychają dobytek byle jak. Droga nie będzie przecież daleka. Tylko na drugą stronę wysypanej żwirem szosy, tam gdzie niedawno były jeszcze warzywne ogrody.

Blahó siedzi przy stole z głową między pięściami i patrzy tępo w płomień świecy. Żółty blask kładzie się na jego włosy. Blaho ma gęste zrośnięte brwi. Unosi je i szepcze do żony w ciemności:

— Szkoda domu...

Kobieta nie odpowiada. Rozlatujący się kufer opasuje twardym rzemieniem i zaciska go. Potem siada na wierzchu i opuszcza ręce.

— Szkoda?

— Tak. Można by jeszcze trochę... W zeszłym roku pokryłem dach, naprawiło się też piec...

— Już był najwyższy czas. Nieraz myślałam, że się uduszę od dymu...

Mężczyzna unosi głowę. Odwraca ją wolno w stronę ciemnego pokoju. Nie widzi kobiety, lecz wyczuwa jej obecność.

— No, tak, to było zawsze... tu zawsze był dym... Moja matka mówiła, że dom jest jak kocioł pełen pary, którą trzeba wypędzać czapką...

Kobieta śmieje się cicho. Potem poważnieje. Ją także coś trapi. Nie ma powodu do smutku, jak można opłakiwać takie mieszkanie. Nie mogła się doczekać chwili kiedy je opuści. Dziwne jest jednak to, że nie tylko ona, ale i inni milczą i spoglądają nieruchomo przed siebie. Jeden patrzy na gwiazdy, drugi wpatruje się w płomień świecy. Wreszcie kobieta pojmuje co ją napawa troską. W nowym mieszkaniu drzwi inaczej będą skrzypiały, a na ścianie nie znajdzie wbitego haka, o który można zaczepić wielkie ucho garnka.

— Chodź — mówi cicho do męża — jestem zmęczona...

Świeca kopci, smuga dymu cuchnąc spalenizną unosi się pod sufit.

Minęła północ. Zrywa się wiatr. Wieje od lasów w stronę miasta. Ten wiatr jest jak młody źrebak o wełnistej grzywie. Na jakimś dachu szeleści blaszany okap, brzęczy szyba w czyimś oknie. Nagle rozbrzmiewa gramofon. Siedzący na ławkach drgnęli. Ktoś mruknął. Ale dziś nie są tym zbytnio poruszeni.

— Miłosna parka — zauważa ktoś — kochają się, to chcą się teraz radować...

— Do diabła — miesza się czyjś niski, basowy głos. — To przecież Molnárowie... oczekują dziecka. Przyda im się właśnie teraz nowe mieszkanie...

Stary mężczyzna potakuje głową.

— I ja też się rodziłem, ale jak Boga kocham, nie potrzebowałem wcale położnej.

— Słusznie — odzywa się znowu bas — przy mnie też nie było akuszerki, ale kto chce łatwiej rodzić, lepiej żyć, dlaczego ma tego nie robić.

Wszyscy potakują. Ma rację. Kiedy wszystko pogrąża się w błocie musi to człowiek jakoś wytrzymać, ale gdy zaświeci słońce trzeba się cieszyć.

— Nie mówię, że nie trzeba się starać lepiej żyć — zauważa stary — te domy są rzeczywiście ładne, raduje się człowiek... Ale i do osiedla przylgnął sercem... No, a gdzie świnie trzymać w takim pięknym mieszkaniu?...

Śmieją się. W blasku rozżarzonego papierosa spoglądają na siebie, klepią się po kolanach. Za oknami Molnárów widać splecione w tańcu cienie. Na skraju rowu wiatr turla pustą puszkę po konserwach.

— Muszą tu dać trochę zieleni... jakiś lasek... plażę i boisko do piłki nożnej...

Stary wzrusza ramionami.

— Będzie mi przykro kiedy przyjdą ciągniki.

Milczą. Zaciągają się głęboko tytoniowym dymem. Oni także nie lubią ciągników. Do ciągników doczepione są wielkie żelazne pługi, które zburzą domy. Będzie słychać trzask, wzniesie się chmura kurzu i chałupy rozsypią się rzędem jak domki z kart. W zeszłym tygodniu zrobiono tak z domami od północnej strony. Ludzie powchodzili na wał, stąd patrzyli z pochylonymi plecami, z rękami w kieszeniach. Jakaś kobieta płakała, ale młodzi śmiali się: „Nie martw się, mateczko, zobaczycie, dostaniecie nawet łazienkę".

Tu są tylko wanny, z których od dawna zlazła glazura. W lecie stawia się w nie garnki.

Od przystanku zbliża się długimi krokami mężczyzna z postawionym kołnierzem i torbą u boku. Konduktor.

— He, konduktor, chodźno tutaj!

— Kiedy podchodzi, częstują go papierosem.

— No co, spakowany?

Konduktor ssie papierosa. Zsuwa otwartą dłonią czapkę do tyłu. Odpowiada śmiejąc się:

— Ja, nie! To babska sprawa. Ja się do tego nie mieszam.

— Uważaj — no, kobiety zawsze za bardzo się spieszą. Konduktor znowu się śmieje. Błyszczą jego zęby.

— Ach, nie myślę. Ona zapakuje nawet igłę...

Sięga do torby po pękatą butelkę, która leży obok dziurkacza do biletów. Pokazuje ją wszystkim.

— W porządeczku! Trzeba się napić. Ochrzcić nowe mieszkania, co?

— Oczywiście. Tylko, że jedną butelką. Dla wielu i tak nie starczy.

Konduktor potakuje i wsadza butelkę do torby.

— Żebyś tylko nie wypił przed ranem.

Konduktor zamyka energicznym ruchem torbę. Uderza po niej dłonią.

— Oddam ją żonie. Ta już przypilnuje.

Teraz znów patrzą na dom Molnarów. Przez otwarte okna buchają na ulicę kłęby dymu i muzyka jazzowa.

— Za dużo ta kobieta podskakuje, wytrzęsie dziecko z brzucha...

Śmieją się, ale zaraz milkną bo Molnár wychodzi z domu. Jest młodym mężczyzną. Jeszcze tak niedawno, ubrany w krótkie spodenki, puszczał latawce koło remizy.

Nie znajdując miejsca na ławce Molnár rozściela swój płaszcz na ziemi i siada na nim. W ustach trzyma papierosa i szuka zapałek.

— Jak się czuje żona? — pyta ktoś wreszcie.

Molnár najpierw zapala papierosa. Rzuca za siebie płonące drewienko.

— Będę musiał oddać ją do szpitala! — odpowiada mrukliwie.

— To już ten czas?

— Leży i jęczy. Jej brzuch stwardniał na kamień...

— Głupcze, i ty z nią podskakujesz!

Chłopak skubie sobie włosy; jest zmieszany.

— Ona tego chciała. Także muzyki... mówi, że czuje się wtedy lepiej...

Stary wstaje i przeciąga się:

— Te dzisiejsze dziewczęta! — machnął ręką. — Chciałyby tańczyć podczas rozwiązania...

Znowu śmieją się, ale szybko mija wesołość. Tam, w domu, kobieta jęczy. Nagle wydaje z siebie ostry krzyk, który wszystkich przejmuje dreszczem.

— Mój Boże, jeszcze raz! — mruczy ktoś — czyżby to już...

Spoglądają na siebie.

Młody człowiek zrywa się i potykając się gna do domu. Jego płaszcz leży na ziemi.

— Tak szybko to nie będzie — uspokaja któryś z mężczyzn. — Moja żona zaczyna zawsze krzyczeć o trzy dni wcześniej.

Czują się uspokojeni. On przecież wie. U niego w domu zasiada do stołu cała gromadka dzieci. Tak od razu on sam nie potrafi powiedzieć czy jest ich pięcioro czy sześcioro.

— Sześcioro — mówi wreszcie i dodaje głębokim, pełnym ojcowskiej dumy, głosem — zresztą do jesieni przybędzie jeszcze siódme.

Właściwie i teraz mogliby się pośmiać, ale nikt się nie śmieje.

Kobieta wrzeszczy tak jakby rozszarpywano jej żywe ciało. Otwierają się kolejno okna. Tu i tam odmykają się drzwi.

— Wezwijcie lekarza!

Z początku nikt nie rozumie. Chyba się przesłyszeli. Ale Molnár stoi w oknie i daje znaki rękami.

— Przyprowadźcie lekarza!

Konduktor nasuwa czapkę na czoło i biegnie. Torba tańczy u jego boku. Z domów wynurzają się ciemne postacie. W wąskich uliczkach pełno żółtych światełek i lękliwego szeptu.

Kobiety w pośpiechu wdziewają szlafroki albo kurtki i zbierają się pod oknem Molnárów. Niektóre tłoczą się w pokoju. Mężczyźni pozostają na dworze, wpatrują się w oświetlone okna, snują się bezradnie tu i tam. W takich wypadkach mężczyźni zawsze są bezradni. Czują się zbędni i są przerażeni. Zwracają głowy w kierunku drogi. Lekarz mieszka przy tunelu, o dobry kwadrans drogi stąd. Nim się ubierze i pozbiera narzędzia... A kobieta jęczy coraz głośniej.

Jakaś kobieta biegnie ulicą; jej pantofle stukają przy każdym kroku. Dźwiga kocioł do bielizny, z którego bucha para.

— Pewno się zaczęło — szepcze tem mówi któryś z mężczyzn.

Stary przygląda się gwiazdom. Gdzieś, daleko, na skraju horyzontu spada gwiazda. Starym wstrząsa dreszcz. Żegna się drżącą ręką.

Ktoś uderza go w bok i chwyta za ramiona.

— Oszalałeś?...

Potem go puszcza. Stary opiera się o mur. Stoi, a głowa opada mu na pierś.

Jakiś chłopak wspina się na wał. Ci na dole oczekują na jego słowa, jakby był Mesjaszem.

— Idą — woła.

Wszyscy biegną ku niemu. Ktoś potyka się o wiadro bez dna i wrzeszcząc zsuwa się z wału.

Lekarz jest małym mężczyzną w okularach. Biegnąc przyciska do piersi rozwinięty płaszcz. Za nim, sapiąc podąża konduktor z dawno wygasłym niedopałkiem papierosa w kąciku ust. Mężczyźni oddychają z ulgą. Ktoś poklepuje konduktora po ramieniu. Tamten nie odzywa się ani słowem. Ciężko dysząc opada na ziemię. Obiema dłońmi ściera pot z czoła.

Do brzasku mieszkania opustoszały. Otwartymi drzwiami targa wiatr. Opustoszały ulice. Tylko stary drzemie na ławce obok spakowanych manatków, a przed domem Molnárów drepcze bezużytecznie kilka kobiet.

— Dziewczyna, ale silna jak chłopak...

Pochylają się do przodu, z otwartymi ustami. Słuchają płaczu dziecka.

— Ale gardziołko, co?

— Niech wrzeszczy, niech wrzeszczy, wyrobi sobie płuca.

Za domem inżynier w tyrolskiej czapce tłumaczy robotnikom:

— Trudności obiektywne... pracę poprowadzimy tam, moi drodzy...

Robotnicy potakują mrukliwie. Są zaspani. Świeża rosa gryzie oczy. Jeden z robotników przysiadł na koparce. Huśta nogą.

— Ostatnie dziecko osiedla, co?

Blahówie są już na drodze. Blahó pcha przed sobą wózek. Obok drepcze żona wlokąc kufer. Skrajem drogi, długim rzędem, idą ludzie. Sapiąc, niosą swoje pakunki.

— Dokąd się wprowadzacie? — pyta konduktor.

— Dom numer 5 — odpowiada Blahó i pokazuje klucz. Do klucza doczepiona jest karteczka z nazwiskiem.

— No to wejdziemy do samego domu — śmieje się konduktor. Odbiera od Blahówej kufer, choć sam też ma coś niecoś do dźwigania.

Tam, za nimi, huczą ciągniki. W powietrzu unosi się zapach spalin. Ludzie nie odwracają się. Idą z pochylonymi głowami, szybko.

Dzieciaki przebiegają przez drogę i wspinają się na wał. Zbite w gromadkę gapią się szeroko rozwartymi oczami na ciągniki. Jeszcze tylko jeden dom stoi. Dom Molnárów. Ciągniki znów warczą. Zataczają krąg wokół domu Molnára i pełzną ku drodze. Dzieci biegną za nimi gwiżdżąc i pokrzykując.

Tłumaczył:

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

fraszki jana Czarnego

APOSTROFA

Satyryku, twój śmiech
nie wyrwie świata z matni,
ten śmieje się naprawdę,
kto śmieje się ostatni...

PRAWIDŁOWOŚĆ

Poślij do piekła anioła,
śmiech tylko tam wywoła.

* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

Lewym okiem

RZYMIANIE

Za długo łacina była jednym z najważniejszych przedmiotów nauczania w naszym kraju. Za mocno wbijano w głowy naszym ojcom i dziadom, że wszystko co można było mądrego i słusznego wymyślić i urządzić — to zrobili już mieszkańcy apenińskiego buta dwa tysiące lat temu i jedyne co pozostaje — to małpować ich w zachwycie i ekstazie. Teraz mamy co prawda nie za wiele rzymskich łaźni, ale za to mnóstwo Rzymian. Zwłaszcza na pomnikach.

Jeszcze od biedy rozumiem rzymskie pozy wielkich mistrzów sztuki wojennej. Niech tam sobie siedzą w arcydumnych postawach na potężnych ogierach (jeśli koń, to musi być ogier i to taki nie budzący wątpliwości nawet u panienek z bractwa różańcowego), niech wsparci na pałaszach i szablisках wypinają dumne piersi i władczym spojrzeniem mierzą hen w dal ponad nami, ponad wszystkim malutkim i nieważnym. Jakaż jednak szkoda, że na takich samych Rzymian drapujemy wszystkich naszych wielkich, pewnie po to, żeby ich jeszcze bardziej powiększyć. Ta wysunięta w przód prawa (albo lewa) noga, ta wyrzucona „dumnie" głowa (może też być nie wyrzucona dumnie, tylko wzniesiona dumnie), to wyprężone energicznie ramię, na którym beztrosko siadają gołębie i ostrzą dzióbki o wyciągnięty wskazujący palec...

Czy byłby u nas — nie mówię o Łodzi, lecz o całym kraju — do pomyślenia stary, zgarbiony, siedzący w zamyślonej pozie Wolter, lub rozparty niedbale w fotelu Maupassant, jak w Paryżu? Czy dla ozdoby miejskiego placu, dla upamiętnienia jakiejś tradycji, dla żartu wreszcie — postawilibyśmy gdziekolwiek siusiającego chłopczyka, jak w Brukseli, albo chłopaka kradnącego gęś, jak w Dreźnie, albo chłopca z osiołkiem, jak na Starym Rynku w Halle?

Tę hieratyczność i celebrę wszystkich prawie pomników, aż do najnowszych można by sprowadzić do rozmiarów zagadnienia czysto estetycznego, ale można też dostrzec tutaj coś więcej: celebrę i hieratyczność naszego życia publicznego w ogóle. Pisał już o tym Boy kilkadziesiąt lat temu, wstyd powtarzać. Mamy przecież naprawdę poczucie humoru, jakiego mogliby nam niejedni pozazdrościć. Ale uważamy je za cechę wstydliwą. Rzymianin okrywa się szczelnie w swą togę, sprawdza w każdym mijanym lustrze i w każdej szybie wystawowej, czy aby fałdy należycie prezentują jego godność osobistą i społeczną, spojrzeniami i podchwytliwą mową upewnia się, czy — „czy pan wie, kto ja jestem?"

Pompa i szyk. Byle sprawka staje się sprawą przez duże S, barki każdego Rzymianina nieustannie dźwigają na sobie honor imperium. Historię, Misję, Usługi dla Ludzkości. Nie wolno powiedzieć bliźniemu w tramwaju „zejdź pan z przejścia", bo to nie bliźni, tylko zastępca naczelnika wydziału w pewnym biurze. Sztywniak nie kłania się sztywniakowi, żaden z nich nie chce być pierwszy; patrzą w dal, tak jak ci z pomników. Coraz mniej zwyczajnej ludzkiej rozmowy. Zostają same przemówienia. Zamiast normalnych wiadomości — komunikaty i obwieszczenia, nie dopuszczające żadnych luzów interpretacyjnych. Co wrażliwszy człowiek obija się o tysiąc łokci z brązu, wysuniętych w marszu ku przyszłości kolan, zadartych ku Mlecznej Drodze podbródków. A Rzymianie twardo, w śmiertelnej powadze kroczą — nie idą, tylko właśnie kroczą — do kolejki po cytryny, marząc o dniu, gdy ich szlachetne postacie upiększą jednak jakieś place w wiadomej wszystkim pozie.

ĆWIEK

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3773. XII. 64. F-4.